



## PISMO ILLUSTROWANE DLA RODZIN.

№ 1.

Warszawa, dnia 25 Grudnia (6 Stycznia) 187<sup>5</sup>/<sub>6</sub> roku.

Rok 12.

### CENA PRENUMERATY

Warszaw. z odn. do domu	na prow. w Cesar. i Królest.
rocznie . . . . . rs. 6 k. „	rocznie . . . . . rs. 8 k. —
półrocznie . . . . . „ 3 „ „	półrocznie . . . . . rs. 4 k. —
kwartalnie . . . . . „ 1 „ 50	kwartalnie . . . . . rs. 2 k. —
miesięcznie . . . . . „ „ 50	w Krakowie rocznie z stemplem dzienn. Zlr. 10. w Galicyi Zlr. 11 cent. 50. w Prusach roczn. 24 marek.

### OPIEKUN DOMOWY

wychodzi raz na tydzień, we Czwartek.

REDAKCJA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT

NR. 72 NOWY.

Skład Główny w Warszawie, w kantorze drukarni Wydawcy J. Korzeniewskiego, St.-Jerska, 12; w Poznaniu w księgarni Leitgebra i Spółki, we Lwowie w Księgarni polskiej, ulica Kopernika Nr. 12, w Krakowie w księgarni Gebethnera i Spółki, w Wilnie u J. Zawadzkiego.

NUMER POJEDYNCZY KOP. 15.

**TREŚĆ.** Z roczników domu i szkoły, p. A. G. Bema. — Historia o pięknym Pecopin i pięknej Baudour przez Wiktora Hugo. — Wady w dzieciach i sposoby ich usuwania p. T. Z. — Bliźnięta, (dok.) powieść p. A. O. — Korespondencye Opiekuna Domowego: z Paryża; ze Lwowa p. T. S. — Choroby mistyków p. W. N. — Jak należy czytać? przez P. Chmielowskiego. — Ślady. I. — Powstanie w Hercogowinie. — Z miasta, kraju i świata. — Drzeworyty: Luka Petkowiez, Lubibratcz i Costia Grucisz.

### Z ROCZNIKÓW DOMU I SZKOŁY.

(Kilka uwag i przykładów z gruntu rzeczywistości zebranych.)

Kilka lat temu był drukowany w „Opiekunie“ artykuł wstępny p. n. „Dom i szkoła,“ gdzie jasno wykazano, w jaki sposób dwa te ogniska wychowawcze dopełniać się i kojarzyć w imię społecznego dobra powinny. Przedmiot to wszakże tak ważny, tak w skutkach rozgałęziony, że dopóki pedagogowie z rzemiosła nie staną się pedagogami z powołania, a rodzice nie przestaną pogardzać wynikami badań i uważać swe własne, chwilowe natchnienie za opatrnościowego kierownika w postępowaniu z dziećmi; dopóty, jak sądzę, wszelkie do rozjaśnienia tej kwestyi służące uwagi zbyt czynnymi nie będą. Tym razem unikając o ile można *ogólników, które się nam już przejadły*, komunałów, które piszemy i odczytujemy zwykle jakby z urzędowego obowiązku, mam zamiar dorzucić do spólnego skarbczyka parę *szczególów*, wkraczających w dziedzinę tak zwanej przez starego Rousseau „l'éducation de choses“ t. j. bezpośredniego doświadczenia.

Wprzód jednakże porozumieć się po krótko z czytelnikami muszę, co do takich zasadniczych pojęć, jak: *dom i szkoła, wychowanie i wykształcenie.*

Pod wyrazem *dom*, rozumiem pierwszy pod względem genetycznym zakres ludzkiego życia, gniazdo rodzinne, naturalny światek dziecka; siłą jego teoretyczną jest ojciec, wykonawcą i bezpośrednio wpływową matka, lub w ich braku osoby, które trudną do zastąpienia rolę tych dwu przyrodzonych potęg na siebie przyjęły. Filozofowie systematycy na-

zwaliby *dom*, pierwszym momentem, podstawą, *tezą* wychowawczą. Pod wyrazem *szkoła* pojmujemy w ogóle każdy *niższy* lub *średni* zakład, któremu przewodniczy grono znacznych, uzdolnionych i solidarnie działających nauczycieli. Szkoła w obec rodziny jest rodzajem *antytezy*, czyli *przeciwstawni* edukacyjnej, o ile dziecko, opuszczając domowe progi, gdzie swobodnie biegło i kwitło, wkracza w sferę szkolnych karbów, szkolnego porządku i szkolnej metody. Że przejście takie nie powinno być nagłem, o tem aż nazbyt objaśnił nas Fröbel. W każdym jednak razie, czy przeprowadzenie dziecka z łona rodziny do ławek szkolnych spełniło się w duchu postępowym, czy konserwatywnym, władza domowa zrzeka się w danej chwili większej części praw swoich na korzyść władzy szkolnej. Obowiązkiem kapłanów i kapłanek domowego ogniska jest przedewszystkiem rozwinąć odpowiednio w wychowawcu pierwiastek uczucia i dodatnie pod względem moralnym w młodziutki organizm wpoić nałogi. Może to zaś nastąpić tylko wtedy, póki jeszcze wpływy oddziaływające na dziecko są tak proste, że się *na palcach* obliczyć dadzą, t. j. póki prócz matki, ojca, odpowiednio dobranych domowników i przyjaciół, nikt swej pieczęci na miękkim chłopięciu nie wyciska umyśle. Szkoła natomiast, strzegąc sumiennie powierzonego jej przez opiekunów z pełnem zaufaniem skarbu, a *w związku z rodziną* naprawiając pod względem obyczajowym, co jest do naprawienia, wzbogacać głównie powinna umysł wiadomościami i władzę myślenia rozwijać.

Zadanie więc domu, edukacja fizyczno-moralna, i zadanie szkoły, edukacja umysłowa, dadzą się porównać do dwu o różnym obwo-

dzie kół, przecinających się nawzajem. Oba te kręgi zawrą się kiedyś w jednej wielkiej a zależnej w pewnym względzie od nich figurze, będącej symbolem olbrzymiej a dla każdego innej *pracowni świata*, olbrzymiego labiryntu ludzkich wysileń, gdzie ostatecznie giną lub dojrzewają rzucone kiedyś w umysł i serce nasiona. Idealiści nazwaliby to *syntezą* (zestawnią) pedagogiczną...

Rodzice wybrawszy dla swego wychowawca jak najodpowiedniejszy zakład, powinni się ściśle sprzymierzyć z władzą nauczycielską: im bardziej bowiem, jak w czterech ścianach rodzinnych, tak między progiem domowym a ławą szkolną, wywierany na dziecko wpływ dodatni jest prosty, im mniej jest skomplikowany, tem umysł pupila swobodniej i bystrzej się rozwija i tem większy mu się, jak mięmię, zasób szczęścia w przypuszczalnych życiowych warunkach na przyszłość zapewnia. Wspomniany przez nas powyżej J. J. Rousseau, mówiąc o trzech przewodnikach kształcącego się człowieka: *naturze, ludziach i rzeczach* („l'éducation de la nature,“ „l'éducation des hommes,“ „l'éducation de choses“), tak pisze: „uczeń, w którego umyśle krzyżują się sprzeczne tych mistrzów rady, jest źle wychowywany i nigdy do harmonii z samym sobą nie dojdzie („le disciple, dans lequel leurs diverses leçons se contrarient, est mal élevé et ne sera jamais d'accord avec lui“). Wprawdzie Jan Jakób pod niedość ścisłymi wyrazami, *natura, ludzie i rzeczy*, pojmuje nie zupełnie to samo, co my pod terminami: *dom, szkoła i świat* rozumiemy: słowo bowiem *natura* oznacza u niego wewnętrzny ustrój psychiczny, wraz z sumą bezwiednych instynktów. Trzy więc nasze czynniki zewnętrzne: *dom, szkoła i świat,*

streszczają się mniej więcej w dwu oddziaływaniach Roussa: *ludzie i rzeczy*. W każdym razie, to co słynny samouczek genewski powiedział i do naszego przez analogią da się zastosować wywodu; boć trudno doprawdy, bardzo trudno wśród wielkiej pracowni świata, dojść do zgody z samym sobą temu, dla kogo kierunek rodzinny był zbyt złożonym a zagmatwanym, i w kim prądy szkolne krzyżowały się co chwila z wyrokami bogów domowych.

Ale przystąpmy nakoniec do faktów, wybranych *jak nateraz* dla okazania, o ile rodzice i opiekunowie paraliżują często sumienne działanie szkoły.

Do progimnazjum prywatnego na prowincyi uczęszczał od lat kilku syn jednego z miejscowych urzędników. Dziecko to (wtedy gdyśmy je znali, trzynastoletnie) odznaczało się umysłem dość bystrym, ale zarazem i obyczajami, które źle o domowym wychowaniu świadczyły. Obyczaje nigdy nie mogą pozostać bez wpływu na kształcenie umysłu. Chłopiec nasz często nie odrabiałznaczonych mu zadań, przy codziennych popisach chwytął się nie rzadko właściwych złemu uczniowi podstępów, nie uważał, innym przeszkadzał; celował uporem w stosunku do nauczycieli, a w stosunku do spółkolegów, wyższą nad wiek złośliwością. Zdarzyło się raz, że między tym uczniem a innym, o wiele od niego pilniejszym, zaszła drażliwa sprzeczka o zabranie czy zniszczenie książki... Spór wytoczono przed dyrektora zakładu, który wziąwszy się do rzeczy z właściwym sobie umiarkowaniem, żadnemu z obu nie schlebiał, ale będąc moralnie, na podstawie całego szeregu poprzednich danych, przekonany o winie chłopca, którego postępowanie pod każdym względem pozostawiało wiele do życzenia, upomniał go surowo i nadmienił, że z ojcem porozumieć się musi. Uczeń nasz *nie w ciemną bitą*, tego samego jeszcze dnia, gdy tylko zdarzyła się po temu sposobność, wybiega ze szkoły, dla doniesienia ojcu o rzekomej krzywdzie, jakiej latorośl jego doznała. Ojciec, zdrowo pojmujący swoje w obec szkoły stanowisko, skarciłby pewno chłopca i odstawił do szkoły; sam zaś po upływie kilku godzin lub dni udałby się, nie uprzedzając o tem wychowawca, do zakładu, i jako spółkierownik w sprawie moralności, porozumiał z dyrektorem w kwestyi dotyczącej syna... Tu się jednakże stało inaczej. Jeszcze spór chłopięcy nie zastygł, a przełożony całej prawdy nie odkrył, gdy ojciec ręka w rękę z synem przybywszy do kancelaryi szkolnej, stanęli przed zacnym pedagogiem, ni mniej, ni więcej, tylko... jako jego oskarżyciele, i to oskarżyciele nie bardzo rachujący się z wyrazami. Smutny to był widok! jedyny może w swoim rodzaju, jaki kiedykolwiek oglądałem. Skończyło się na tem, na czem się skończyć było powinno: dyrektor dał surową naukę... ojcu, a syna wydalili...

Inny przykład. Jedna z uczennic cztero-klasowej pensyi żeńskiej, córka zamożnego przemysłowca, przechodząc z klasy trzeciej do czwartej, ocenioną została, jak to zwykle w panięskich szkołach bywa, nieco wyżej nad zasługę, i dzięki temu pobłażaniu, oprócz promocyi otrzymała na akcie uroczystym list

pochwalny. I cóż powiecie? Oto dziecko *z pochwały* nie było zadowolone: płakało w domu, i strumieniem łez przekonawszy ojca o słuszności swych do nagrody, pretensyj wymogło na nim „bronią niewieścią,“ że ten niewiele myśląc... *odesłał* (sic!) przełożonej list pochwalny i oznajmił, że córka jego (z powodu iż nagrody nie otrzymała) z przejścia do wyższej klasy w tym zakładzie korzystać nie będzie. Naturalnie, że słowa dotrzymał i na inną pensyą przeniósł. Jakże się to wam, szanowni czytelnicy podoba. Czyż to jest drobnostka? czyż nie cierpi na tem jednocześnie i powaga domu i powaga szkoły? Czy zresztą taki nieroztropny krok ojca, z którym prawdopodobnie łączy się w łańcuchową całość szereg ukrytych dla nas błędów pedagogicznych, nie wpłynie szkodliwie na charakter dziewczęcia?... Sądzę, że tylko kategoryczną na te pytania dać można odpowiedź.

Nieskończyłbym wyliczać podobnych przykładów, tych niby komentarzy do dziejów *wojny domu ze szkołą*, mimo, że na gruncie jednego tylko miasta je zbieram. Powiem tylko, iż najpospolitszym błędem rodziców jest posądzanie w obecności dziatwy o rozliczną niesprawiedliwość przedstawicieli i kierowników szkoły, do której właśnie dzieci te uczęszczają. Trudno doprawdy na razie pojąć, a za to zbyt łatwo się później z bolesnych dowodów przekonać, ile to złego wyrządzamy młodemu pokoleniu, podkopując w niem lekkomyślnie zaufanie do tych osób, których pieczy z dobrej woli, kierunek nad nieuprawniami powierzyliśmy umysłami.

Na ostatek poruszę jeszcze jedną odmianę rozbieranej kwestyi. Częstość zakładu naukowego, mianowicie prywatny ulega *prawem kaduka* przeważnemu wpływowi domów. Przewaga ta świeci plamą w ustroju szkoły, niby wypiek chorobliwy na licu suchotnika. W jakiz sposób się to dzieje? Oto, jest pewna liczba uczniów, do których umysłu wcale nauka nie łągnie. Uczniowie ci jednak są dziećmi zamożnych rodziców którzy, dla podtrzymania zapewne chwały rodowej, wypraszają u przełożonego coroczną promowanie *hebesów* z klasy do klasy, bez względu na raporty nauczycielskie... Przełożony, jakkolwiek się to z jego poglądem nie zgadza, ujęty już to względami materyalnemi, już to usilnością próśb i osobistą dla rodziców przyjaźnią, zmuszonym bywa najczęściej do podobnych ustępstw, usprawiedliwiając się przed samym sobą tem, że od niepamiętnych czasów figurują one w rocznikach cywilizacyjnych, jako *mala necessaria*. Jakże stąd owoce dla rodziców i dzieci, a jakie dla szkoły, nie trudno odgadnąć. Rodzice niewiadomo na co, gwołi chyba chwale sąsiedzkiej, rzucają banknoty w studnią; ich synowie, którzy mogliby z korzyścią nad rzemiosłem pracować lub od biedy w niższej klasie nieprzyswojone umysłowi zgłębiać rudymenta, trwonią *monetę* nieocenioną, która się *czasem* zowie; nauczyciele mają przed sobą nietopny maferyał, z którym niewiadomo co począć, i ciągle obecną na drodze swej działalności zawadę; szkoła nakoniec, pozornie tylko, *chwilowo* i *liczebnie* wzrasta: w gruncie rzeczy ona traci najwięcej, bo traci dobrą sławę i pilnym uczniom podniętę do pracy od-

biera... Czasby już był doprawdy, aby rodzice, dla własnego choćby interesu, przestali wymagać od szkoły podobnych, do niczego nieprowadzących ustępstw, czasby już był, aby i pedagogowie silniej się naleganiom oparli.

Z tego, com powiedział, wynika, jak się zdaje dosyć jasno, że dom nie tylko niepowinien przeciwstawiać się interesom szkoły, kierowanej przez harmonijnie działające ciało sumiennych nauczycieli, ale owszem, *ciążyć* że tak powiem ku niej, zrzekając się wszelkiej przewagi w kierunku naukowym, a pod względem moralnym, stanowiąc niby informacyjną księgę i kronikę psychologiczną, gotową się otworzyć na każde wezwanie pedagoga.

Obowiązkiem natomiast szkoły jest być umiętną i sumienną; a więc jednolitą, harmonijną i odwołującą się w potrzebie do rodziny, jako do siewcy kiełkujących w uczniu zasad, jako do cennego *palladium* uczuć, bez których najpiękniejsze ziarno wiedzy dobrych plonów nigdy nie wyda.

A. G. Bem.

## HISTORIA O PIĘKNYM PECOPIN

I PIĘKNEJ BAULDOUR.

przez

Wiktora Hugo.

I.

Legenda.

Piękny Pecopin kochał piękną Bauldour, a piękna Bauldour kochała pięknego Pecopina. Pecopin był synem burgrafa z Sonneck, Bauldour była córką pana z Falkenburgu. Burgraf miał las, pan z Falkenburg miał górę. Cóż prostszego nad połączenie lasu z górą?... Ojcowie porozumieli się i zaręczono Bauldour z Pecopinem. Był kwiecień. Bzy i tarnina otwierały swe kwiaty słońcu, w lasach płynęło tysiące prześlicznych wodospadów... To śniegi i lód stopione w strumyki... Szkarada zimy zmieniła się w czar wiosny; miłość zaś, ten kwiecień ludzkości śpiewała i promieniała, upajając serca dwojga narzeczonych...

Ojciec Pecopina stary i waleczny rycerz, zaszczyt Nahegau umarł wkrótce po zaręczynach, błogosławiąc synowi i polecając mu Bauldour. Pecopin opłakiwał szczerze tę bolesną stratę. Powoli jednak wzrok jego z grobowca, w którym zamknięto prochy ojcowskie wrócił się na jasną, pogodną twarzyczkę narzeczonej, więc się pocieszył i uspokoił...

Któż bo myśli o zaszłym słońcu patrząc na wschodzący księżyc.

Pecopin miał wszelkie przymioty potrzebne szlachcicowi, mężczyźnie i młodzieńcowi. Bauldour była królową w zamku, świętą w kościele, nimfą wśród lasu, wieszczką przy pracy...

Pecopin był zawołanym myśliwym, Bauldour sławną przęśniczka; a wiadomo jaka ścisła przyjaźń łączy wrzecziono z sajda kiem. Prządka przędzie, kiedy myśliwy poluje. Kiedy go nie ma, kądziel odpędza nudy. Psiarnia goni, kołowrotek śpiewa. Psiarnia, którą zaledwie słyhać w oddali i której głosy mieszają się z dźwiękiem rogu ginąc

w głębi gestwiny, przemawia cichutko z słabym głosem fanfary: „*myśl o twoim kochanku.*“ Kołowrotek, który zmusza piękną marzycielkę do spuszczenia oczu, woła głośno i bez przerwy swoim słodkim a surowym głosem: „*myśl o twoim mężu.*“ Kiedy więc mąż i kochanek jest jednym i tem samym, wszystko idzie jak najlepiej.

Ożenie strzelca z przęsniczką i nie bóje się niczego.

Muszę wam jednak powiedzieć, że Pecopin zanadto lubił polowanie. Kiedy dosiadł swojego rumaka, z sokołem na ręku, albo kiedy ścigał wzrokiem ulatującą czaplę; kiedy posyłał gonienie ogarów—wtedy pędził, biegł, zapominał o wszystkim, niczego zaś nie powinno się nadużywać.

Szczęście ma za podstawę umiarkowanie.

Trzymajcie na wodzy swoje zachcenia i namiętności na żądze wędzidło.

Kto zbyt mocno kocha psy i konie, na tego gniewają się kobiety; kto kocha zanadto kobiety, obraża Boga na siebie.

Kiedy Bauldour, a to zdarzało się często, widziała Pecopina ruszającego na swoim koniu rżącym z radości i dumnym jak gdyby niósł Aleksandra Wielkiego w cesarskim ubraniu; kiedy widziała Pecopina jak pieścił konia, głaskał go po szyi i odejmując ostrogi od butów, podawał mu pęk świeżego siana, Bauldour zazdrościła koniowi. Kiedy Bauldour, ta dumna i szlachetna dziewczyna, ta gwiazda miłości, piękna i młodości, widziała Pecopina jak pieścił swojego buldoga, jak zbliżał po przyjacielsku do swojej pięknej i męskiej twarzy, ten łeb płaski, te nozdrza grube, te szerokie uszy i tę paszczę czarną, Bauldour o psa zazdrosną była... Odchodziła do swego pokoju zagniewana smutna i płacząca. Potem ganiła służące, a potem gniewała się na swojego karzełka, albowiem u kobiet gniew jest jak deszcz w lecie: dwa razy zawsze pada. *Bis pluit.*

Wieczorem Pecopin wracał zakurzony i zmęczony. Bauldour dąsała się pomrukując troszeczkę, z łezką w kąciку niebieskiego oka. Kiedy jednak Pecopin ucałował jej małe rączki, zamilkła; kiedy zaś Pecopin ucałował jej piękne czoło, uśmiechnęła się. Czoło Bauldour było białe, czyste i jasne jak róg z kości słoniowej Karola Wielkiego. Potem odchodziła do swojej wieżyczki a Pecopin do swojej. Niepozwoliła się nigdy ująć w pól rycerzowi swemu...

Pewnego wieczoru ścisnął ją leciutko za ramię, mocno się zarumieniła. Była narzeczoną, nie żoną. Wstyd jest tem dla kobiety, czem męstwo dla rycerza.

## II.

Ptak Feniks i planeta Wenus.

Ubóstwiali się aż zazdrość brała patrząc. Pecopin miał w swojej zbrojowni w Sonneck obraz przedstawiający niebo. Dziewięć firmamentów i wszystkie planety oznaczone na niem były właściwym kolorem, a u dołu czerwona farbą wypisane były ich nazwiska: Saturn biały był jak ołów; Jowisz jasny ale zapalony i trochę zakrwawiony, — Wenus wschodząca w całym blasku, błyszcząca Merkury, — Księżyc ze swoim srebrnym odbłaskiem, i Słońce promienieją-

ce ogniem. Pecopin stał podpis Wenus i w tem samym miejscu napisał: *Bauldour*. Bauldour miała w swoim pachnącym pokoiku dywan utkany, na którym był wysyty ptak wielkości orła ze złotą szyją, z ciałem purpurowym, z ogonem niebieskim ze szkarłatnymi piórkami, a na głowie z grzebieniem ustrojonym w piór pęk. Artysta pod tym ptakiem napisał po grecku: Phenix.

Bauldour usunęła ten wyraz i wyszyła: *Pecopin*.

Dzień ślubu zbliżał się, z czego Pecopin się cieszył, a Bauldour była szczęśliwą.

Pomiędzy łowczymi w Sonneck był jeden pikinier nazwiskiem Eriangus, zuch co się nazywa, śmiały w mowie i skory do złej rady. Ten człowiek otóż był kiedyś pięknym łucznikiem i wiele pięknych dziewcząt z Lorch chciało wyjść za niego, on jednak wzgardził nimi i wolał psom służyć. Pewnego razu Pecopin zapytał go o powód, na co Eriangus odpowiedział: „Panie mój, psy mają siedm rodzajów szaleństw, kobiety zaś mają ich tysiące. Innym razem dowiedziawszy się o przyszłym weselu swojego pana, przystąpił doń hardo i zapytał: „Panie mój, po co się pan żeni?“ Pecopin odpędził tego sługę.

Powinno to byłoniekpokoić rycerza, bo Eriangus miał dobrą pamięć i umysł przewrotny.

Co prawda jednak, służący wszedł do dworu markiza z Lusace, gdzie został pierwszym łowczym i Pecopin więcej o nim nie słyszał. Na tydzień przed ślubem kiedy Bauldour przejdła przy oknie, karzełek dał jej znać, że Pecopin wchodzi na schody. Chciała więc wybiedz na przeciw narzeczonego, schodząc jednak z krzesła o poręczach prostych i rzeźbionych, zaplątała nogę w przędzy i upadła. Biedna Bauldour powstała i nie sobie złego nie zrobiła, ale przyszedł jej na pamięć podobny wypadek, który kiedyś spotkał kasztelanekę Libę i serce jej się ścisnęło.

Pecopin wszedł promieniejący, mówił o ich małżeństwie, o ich szczęściu i rozproszył chmurkę która była po nad piękną duszą narzeczonej jego zawisła. (d. c. n.)

## Wady w dzieciach i sposoby ich usuwania.

Z wielkim niedowierzaniem słucham zawsze opowiadań odziecinnych latami ludzi, odznaczających się jakąś wybitną stroną władz umysłowych, a nie zawdzięczających nie niby pierwotnemu otoczeniu. Gdy słyszę o pełnym szlachetnych uczuć synu brudnych egoistów, o pocięciu wychowanym przez bezdusznych ludzi, lub o energicznym potomku niedołęgów; wtedy koniecznie pragnę poznać istotny prąd wpływów na daną organizację, bo przecież nikt nie zdoła uwierzyć, aby przez prosty traf czy wybryk natury, wierzbą zechciała rodzić gruszkę. Musiał je ktoś tam zaszczyć. W najprzychylniejszym dla siebie gruncie nie wyrosnie roślina samorodnie bez ziarna. Wierzę, zdarzają się rzadkie wyjątki dzieci obdarzonych nadmiernym usposobieniem do przyjmowania pewnego rodzaju wrażeń i do na-

stępnej, spotęgowanej działalności w jednym kierunku, wierzę, iż ta naturalna choć niezwykła właściwość dziecinnego ustroju, czeka tylko na odpowiednie wpływy, aby im dać się unieść zupełnie, wbrew nawet sile sprzecznych warunków; o ile jednak to usposobienie, że tak powiem wrodzone, bierze początek w dziedziczności lub innych skrytych przyczynach fizycznych i wprost darem bożym się nazywa, o tyle stosowny wpływ jest tu bezwzględnie potrzebnym, do upłodnienia naturalnych zarodków.

Wyjątki jednak nie powinny uwagi naszej odwracać od zwykłego typu dziecka. Typ ten przedstawia mniej więcej stałą równowagę władz fizycznych i umysłowych, danych do wyrobienia. Jakkolwiek w oczach zaślepionej miłością czułościową mamy, każdy synek lub córeczka jest, jeśli nie małym geniuszkiem to przynajmniej czemś zupełnie odrębnym od „cudzych dzieci“, przyjąć musimy za prawdę, iż pominawszy drobne różnice właściwe wszystkim, najbardziej jednorodnym rzeczom ziemskim, dziecię jest w związku przedstawicielem gatunku „człowiek.“ Bierze w siebie ze świata wszystko co doń przemawia jako wpływ, aby z niego wytworzyć swą własność, swoją istotę. Rodzina więc, wraz z całą sumą swych oddziaływań jest dla dziecka formą, w której się odlewa jego charakter. Indywidualne, drobne różnice wychowawców nie zbijają bynajmniej tego twierdzenia. W usposobieniu i zachowaniu się dziecka, można z łatwością odnaleźć wszystkie rysy charakteru ludzi, którzy je wychowywali, a kilkoro dzieci razem wychowanych, daje nam zawsze wszechstronny obraz charakteru osób, co na nie wpływały, ich stosunków, ich zachowania się; daje nam jakoby odbicia tych samych widoków w różnorodnych zwierciadłach.

Od bardzo wczesnej chwili rozróżniamy zwykle przymioty rozwijające się w dziecku i wedle ich życiowej i moralnej wartości dzielimy je na dobre i złe. Pierwsze bezwarunkowo przypisujemy swoim wpływom, pracom i staraniom, w drugich widzimy zawsze fenomena złowieszczej ręki przeznaczeń. Weźmy przykład.

Ojciec jest człowiekiem z najlepszym sercem, ale lekkomyślny, fantastyk, ulegający wrażeniom chwili, matka przepada za dzieckiem, głowę ma przepełnioną najsprzeczniejszymi radami wychowawczymi, ma przytem nadwyzczaj drażliwe nerwy i mnóstwo zajęć na głowie. Niania lub bona, która przez trzy czwarte dnia samowładnie opiekuje się dzieckiem, jest zgryźliwą osobą, dziecka nie cierpi i ma wiele ubocznych interesów. Jakież jest dziecko? Kocha bardzo mamę i tatę—to cnota, jest kapryśne, to wada (fenomen nieprzewidywany!), nieposłuszne, leniwe, kłamie i natarczywie obstaje przy swem widzimisię—(wszystko to zjawiska *złej natury!*) Ale za to okazuje często niespodziewany spryt w wyzyskiwaniu okoliczności (to dowód rozumu nad lata). Otóż jak widzimy dziecięciu nie zbywa na *cnotach*, ale coż począć z przerażającymi *wrodzonymi wadami?*

Nie zamierzamy tu bynajmniej podnosić rozstrzygniętego już oddawna sporu w sprawie

wad wrodzonych, ani też nie bierzemy tu pod uwagę wychowawców krótkowidzących, którzy swe niedołęztwo takim parawanikiem zasłaniają, idzie nam o istotną genezę wad dziecinnych i o środki zaradcze. W przytoczonym dopiero przykładzie każdy rozsądny człowiek z łatwością dojrzy przyczynę znarowienia dziecka i potrafi sobie zdeterminować każdy odcień jego usposobienia. Zapewne dziecku nie przypisze winy za upór, lenistwo, kaprysy, które to przymioty urobili w niem ojciec i matka, brakiem stałej myśli w postępowaniu, konsekwencji, pilności i rozsądku; za kłamstwo i przebiegi wykształcone przez niesumienną bonę?

Z pewnością nie znajdziemy dwóch domów z jednakim trybem życia, z jednakowym sposobem zachowania się starszych względem dzieci. W każdym też domu znajdujemy odrębną kombinację zalet, wad i przywar w dzieciach, lecz nigdy po bliższym ich zbadaniu nie znajdziemy *samorodztwa* przymiotów w wychowawcach, i wszędzie potrafiśmy szczegółowo sprawdzić ten pewnik: że *nic nie powstaje bez przyczyny*. Chciemy więc raz pojąć tę niezbędną pedagogiczną zasadę, że w pierwotnym wychowaniu, *bezw warunkowo nie istnieje wina i zasługa dziecka*, że zasługa i wina w całości należy tu do wychowawców.

Zalety i wady dzieci zależą w zupełności od ich rodziny. Indywidualność dziecięca ze wszystkimi swymi odcieniami zostaje na łasce jego rodziny, jej powinnością jest dostarczyć pożywnego materiału kielkującej roślince. Aby dać jej wzrosnąć normalnie, nie potrzebujemy kłopotliwie dopatrywać drobnych różnic osobistych w dzieciach, które to różnice mają następnie stanowić cechę ich samodzielności. Istnieje *ogólna norma wpływów wychowawczych*, która nie ubiega się za drobnostkowem wspieraniem właściwości każdego dzieciniego charakteru. Otoczmy dzieci rozumnym, czysto ludzkim, dalekim od sztuczności wpływem, dajmy im żyć w warunkach o ile możności zbliżonych do tych, w jakich znajduje się najczęściej, najszlachetniej pojęte życie ludzkie — właściwości osobistych charakterów same rozwiną się wtedy naturalnie — a wady nie okażą się nigdy.

Dobre przymioty bez wątpienia rozwiną się jeśli dziecię otacza ta normalna temperatura wpływów, która jest jedynie zdrowym gruntem pedagogicznym, wszelka zaś jednostronność oddziaływań, wszelkie zboczenia od naturalnej, prawej i rozsądnej drogi działania na wychowawca wyrabiają w nim wady, a cóż dopiero wpływy wprost sprzeczne ze zdrową logiką, walczące zgubnie przeciw moralnemu ustrojowi dziecka? A wpływy takie częściej spotykać się dają w naszym domowym wychowaniu, niż zdawać się może z pozoru.

Nie uwierzę nigdy, aby istotne wady rozwinać się mogły w dziecku wychowanym w domu zacnym, wśród ludzi uczciwych, rozumnych, pojmujących obowiązki wychowania i oddanych im szczerze; w domu, gdzie panuje zgoda, ład i praca, a dzieci nie są po-

stawione po za obrębem życia, które je otacza. Słowa te mogą urazić niejednych rodziców utrapionych złemi dziatkami, mogą zresztą rzucić wcale niekorzystne światło na ogół wychowawców, przy tak powszechnem narzekaniu na wady dziecinne. Zdania naszego jednak nie cofamy. Złagodzić je tylko można tem, iż nie tyle jeszcze brak wymienionych przymiotów, nietylko moralne niedostatki rodziców, jak lekceważenie i brak jasnego pojęcia ich obowiązków jest przyczyną złego.

Najpospolitszymi wadami naszych dzieci, wadami radykalnymi zresztą, które przebijają się u nas w charakterze nie tylko dzieci, są: *lenistwo, lekkomyślność z zupełną nieumiejętnością kierowania sobą, kłamstwo i brak istotnej godności osobistej*. W tym pięknym bukietcie kryją się uboczne lub mniej wybitne ziółka, których nie ignorujemy bynajmniej, nie licząc do kardynalnych.

*Lenistwo*. Cóż powszechniejszego u nas jak



Luka Petkowiez.

dzieci i — ludzie leniwi? Narzekamy prawie chorem na tę wadę w dzieciach naszych i to właśnie jest naszego własnego lenistwa najoczywistszym dowodem. Czy ta wada paraliżująca tak okropnie życie nasze ma podstawę w temperamencie, w wyrokach gwiazd i *planet*? Nikt nie odpowie „tak“ z doświadczenia. Przeciwnie, ludzie flegmatyczni (a my nimi nie jesteśmy), są powolni, nieruchawi, ale pracowici z natury, zdolni wykonywać z cierpliwością najmżolniejsze prace. Lenistwo nasze chodzi zawsze w parze z lekkomyślnością, z jakimś rozpięchnięciem władz duchowych.

Przyjrzyjmy się leniwemu dziecku. Żywi ono nieprzewyciężony wstręt do książki i do wszystkiego co się nazywa obowiązkiem, wzdyga się na myśl skierowania usilności do jakiegos celowego zajęcia, nie zdoła skupić uwagi, przez chwilę pomyśleć poważnie i zawsze czem innym pragnie się zająć, byle nie

tem czego wymaga potrzeba. Dziecię to jest zrażone do pracy lub rozpróznowane, ociążałem nie jest wcale zresztą (ociężałość jest już stanem chorobliwym), bryka bezmyślnie i chętnie. W dziecku takim krzewić się mogą swobodnie wszelkie najgorsze nałogi i wady, jak chwast pod płotem.

Skąd w niem to wszystko? Ha! przyjrzyjmy się jego otoczeniu. W domu panuje nieład, wszystko *jakoś to* idzie przygodnym trybem. Matka krząta się wprawdzie a krzątając zrzędzi i narzeka; ojciec po za musowem zajęciem beczynnym przepędza długie godziny, ręce jego spoczywają bezpiecznie w kieszeniach, on zawsze wypoczywa po *przeklętych* trudach, matka dorywkami łapie dziecko do elementarza i mimo jego dąsy i płaczki wbija mu w głowę nieskończone nigdy *be-u, bu; jota* o kreskowane, *ju* i t. d. Ojciec dostrzegłszy iż matce już przebiera się *świętej cierpliwości*, zakręca dzieciakowi ucha i każe mu słuchać długiej perory o konieczności pracy, o jej pożytkach, nie zaniehbując wskazać mu w sobie budującego wzoru... Potem nauczyciele i nauczycielki spełniają nad dzieckiem swoją pańszczyznę, a choćby najusilniej nawet pracowali, nie potrafią przymusowo i słownie wykorzystać nałogu próżniactwa. Aby usunąć to złe trzeba czegoś więcej, trzeba usunąć przyczyny które złe zrodziły. Niech dziecię zasmakuje w pracy, niech w jej świat wciągnięte będzie żywym prądem przykładu, niech jej żywotnym potokiem porwane zostanie. Słowa choćby miodopłynie, to wiatr, przymus brutalny, to zabójstwo duszy. To co zepsutem zostało przez życie i żywy wpływ, tylko życiem i żywym wpływem naprawione być może.

Cheąc poprawić leniwe dziecię, zmieniamy powoli tryb życia jego, nie nakazem prostym lecz potężną siłą przykładu; dostarczymy mu zajęć przyjemnych, interesujących, budzących zamiłowanie; wdrażając w wytrwałe pokonywanie coraz większych trudności. Wciągnijmy dziecię w organiczny system porządku zajęć, nie nużąc, nie nękać umysłu i ciała lecz wykazując

czynnie korzystną, przyjemną stronę pracy. A nadewszystko *pracujmy* sami, bo jak wiara bez uczynków, tak słowa i chęci bez przykładów są martwą rzeczą w wychowaniu.

*Lekkomyslnosc*, jakieśmy powiedzieli, chodzi w parze z lenistwem. Inaczej być nie może. Lekkomyslnosc jest gruntem na którym nie trwałego i pożytecznego wyrosć nie może. Jesteśmy lekkomyślni, każdy na swój sposób; lekkomyślnosc też powszechną jest wadą naszych dzieci.

Nie nazywam tu wadą, żywości właściwej dziecka, ruchliwości jego umysłu, wesołej swobody. Ludzie starzy, znękani, cierpiący, ludzie złego humoru gniewają się na figle dziecinne, a patrząc z gryźliwym okiem na nieobrachowane postęпки rzeźwego malca, gderzą nań, karzą go za to że jest zdrów, że czuje przyjemność życia, że posiada niezem niestłumioną siłę ducha, i zmuszają go do nieruchomego spoczynku. O nie panowie pedancil

żywość nie jest lekkomyślnością, strzeżmy się urabiać dzieci na starców i kępować powijkami to co się ma rozrastać, umacniać i żyć pełną pierśią. Lekkomyslnością jest dopiero bezmyślne uleganie wszelkim zachętom, nieład w działaniu woli, brak ustalonych poruszeń umysłu, jest to jednym słowem wierne odbicie nieporządku i niekonsekwencji wpływów wychowawczych, wśród których dziecię się obraca.

Dziecię lekkomyślne nie ma nic stałego i pewnego w sobie, bo też wszystko co je dotyka jest powierzchowne, chwilowe, dorywcze i zmienne. Nic stale nie zapanuje nad jego umysłem, bo we wpływach któremi się karmi nie ma jednego pasma stałych, celowych pobudek; związek przyczyn i skutków jest dlań rzeczą obcą zupełnie, w życiu swoim nigdy tej nici przewodniej nie schwycało. Najlekkomyślniejszy chłopiec nie jest przecież obrany



Lubibraticz.

z niejakiej logiki postępowania. Przyjrzyjmy się tylko. Poznał on że starsi względem niego mają swe „widzi mi się“ i dla tego przyjął za zasadę nie trzymać się ich woli; poznał że to co oni nazywają dobrem i chwalebny, jest po prostu rzeczą nudną i mozolną, jakby na dokuczenie mu wymyślona; przeciwnie to wszystko o co się niekiedy gniewają starsi, a czasem tolerują, jest bardzo przyjemną rzeczą, wybór zupełnie naturalny. Gdyby tego rodzaju pobudki były stałym a równomiernym wpływem na dziecko, bez wątpienia ono bardzo logicznie ustaliłoby swój sposób myślenia i postępowania, idąc niezmiennie w stronę wprost przeciwną tej, którą mu się wskazuje; że jednak jak powiedzieliśmy wpływy rozsądne kłóca się zawsze z nieobmyślanymi porywami chwilowej fantazyi, że wzbudzone dobre chęci łamią się zbyt łatwo przy czyni niurobionej przyzwyczajeniem siły

do ich spełnienia, dziecię pozostaje chorągiewką wystawioną na chwilowe podmuchy wiatru, obracającą się bez racyi kołem, które wysoczyło z trybów i rośnie na *luzaka* w życiowym pochodzie....

Dziecię żywego usposobienia, wrażliwe i rzutkie, dziecię z jakimkolwiek bądź wreszcie temperamentem, nie wpadnie nigdy w wadę lekkomyślności przy rozsądnym kierunku i rozumnie płynącym życiu domowem. Zastanówmy się nad każdym z osobna lekkomyślnym dzieckiem a z łatwością dojsz potrafiemy co je takim uczyniło. Uznając całą wartość natury żywej, ceniąc tę giętką wiecznie naprężoną i pełną różnorodności siłę żywotną dziecięcia, nie zaślepiajmy się na zgubne następstwa lekkomyślności. Miarą jej niech nam będzie bezskuteczność usiłowań naszych, użytych celem oddziaływania na umysł i zachowywanie się wychowawca. Jeżeli te usiłowania nasze są względem niego niby wodą przeciekającą przez rzeszoto, jeżeli nie się nie chwyta przewiewnej głowy dziecka, bądźmy przekonani że dotąd fałszywie postępowaliśmy, że praca nasza gruntowną nie jest, że wszystko na marne obrócić się musi, bo uczyniliśmy malca lekkomyślnym. Zbadajmy głębiej i bezstronnie istotne przyczyny tej wady, które leżą w życiu dziecka nie ujętem w ład rozumny, w kłócających się wpływach, w przeciwieństwach zasad z czynami. Usuńmy brak ścisłości w postępowaniu z dzieckiem, wszelkie luźne wpływy; chcąc wyleczyć dziecię z lekkomyślności, zacznijmy od siebie: *usuńmy lekkomyślność naszą.*

Piękna mirada! może zawołać ktoś co się spodziewał znaleźć tu jakieś formalne *recepty* na dziecinne wady. Niestety! od czasu jak pedagogika wypuściła z rąk ową „rózczkę“ którą to jakiś duch, ale wcale nie święty „dziateczki bićradzi“, od tego czasu powiadam, ludzie, nie znaleźli uniwersalnego lekarstwa na dziecinne wady, a co więcej w żadne uniwersalne środki nie wierzą.

Chcąc leczyć dziecinne wady leczmy się z nich sami, bo *dzieci tylko temi drogami iść mogą, któremi idą prowadzący je...*

Czyliż i kłamstwo u dzieci bierze początek w kłamstwie wychowawców. Bez wątpienia jest ono główną przyczyną tej najbardziej może rozpowszechnionej między ludźmi wady. Nie idzie jednak zatem aby bezwzględnie kłamał był każdy ojciec lub matka których syn kłamał, choć niezbitą prawdą pozostaje: iż w stosunkach rodzinnych i towarzyskich pełnych fałszu, enota szczerości rozwijać się nie może, że nałogowo przywykły do obłudy człowiek, nie może w dzieci wpoić szlachetnej miłości prawdy. Często przez niedbalstwo i mimowiednie czynimy kłamekami dzieci, tak samo zupełnie, jakbyśmy własnym przykładem uczyli je fałszu. Chcąc wiedzieć czemu kłamię dziecko, spytajmy się dla czego kłamię człowiek dorosły, któremu wychowanie nie wkorzeniło w charakter miłości prawdy? Bo mu z tem dogodniej w jego nienormalnych warunkach życia, dogodniej przynajmniej chwilowo i pozornie. Nie stwarzajmyż takich nienormalnych warunków dla dziecka, przestrzegajmy drobiazgowo prawosć w każdym postępkach i słowie i niewódźmy je zbyt wcześ-

śnie na pokuszenie! Niechaj nigdy, pod żadnym pozorem, dziecię nie znajduje się w potrzebie ukrywania swej myśli lub maskowania czynów, starajmy się przegładać zawsze w jego czystej duszy, abyśmy dostrzedz tam mogli pełnem wyrozumiałości okiem najmniejszą skazę. Ale cóż, kiedy boimy się spojrzeć czasem w czyste zwierciadło, aby tam nie zobaczyć swej twarzy...

Dzieci skryte, zamknięte w sobie, które zatraciły zupełną ufność do osób kierujących nimi (kto winien?), są zazwyczaj uparte i zacięte. Wiadomo jak wady takie, paraliżują najlepsze chęci rodziców i nauczycieli, wiadomo również jak zwykle poczynamy sobie w takich razach. „Upór na upór,“ „trzeba przełamać dziecko,“ powiadają starego etatu domorośli pedagogzy, dla których pokonać siłą i *przekonać*, to wszystko jedno, którzy słaby nierozsądek dziecka zwalczają nierozsądkiem mo-



Doktor Costa Gruciz.

niejszym. Idąc tą drogą udaje nam się wprawdzie niekiedy zabić osobistość dziecka, zwinąć na zawsze samodzielność jego, ale zawsze prawie fałsz i upór głębiej zapuścić w moralny organizm małego człowieka, utrwalić je, jako chroniczną chorobę charakteru.

Cóż się wtedy robi, z rozumną i świadomą siebie godnością człowieczą (której nawiasem mówiąc, nie posiada ani leniwiec ani lekkomyślny), co się robi z tą szlachetną ambicyą co człowiekowi powinna być sterem w życiu, podstawą w działaniu i bodźcem do czynów? Tylko człowiek wolny od wad któreśmy tu pokrótce dotknęli, posiadać może tę rzadką cechę, prawdziwie człowieczej wielkości. Nikt nie potrafi podać przepisu na osiągnięcie ideału wychowania, na wytworzenie z dziecka człowieka stojącego bezpiecznie o własnej sile i kierującego sobą ku wyniosłym celom wśród zawiłych dróg życia, człowieka

spełniającego święcie wszelkie swe zadania i obowiązki. Jeżeli wychowawcy ideału tego nie noszą w sobie a co ważniejsza jeśli go nie wcielają w życie otaczające młode pokolenie, trud ich choćby najcięższy będzie siewem na piasku. Chcąc rzeczywiście zwalczać wady w dzieciach, zwalczajmy je najprzód, w sobie. T. Z.

## BLIŹNIĘTA

powieść tłumaczona z francuzkiego

przez

A. O.

(Dokończenie <sup>1)</sup>).

Na Nowy Rok, gdy go odwiedził, zdał mi sprawę z upłynionego czasu, i okazało się, że żadna nie trafiała mu się pożądana partya, z wyjątkiem pewnej wdowy dość płochych obyczajów, księżniczki cudzoziemskiej bogatszej wprawdzie, ale obarczanej trojgiem dzieci z pierwszego małżeństwa, i córki osławionego spekulanta.

— Nie pojmuję, czem się to dzieje, rzekł do mnie z pewną goryczą: mam wielu przyjaciół, żadnego nieprzyjaciela; znam cały Paryż, i sam jestem znany; bywam wszędzie, i wszędzie mnie chętnie przyjmują, słowem zjednałem sobie powszechne uznanie w świecie, a jednak daleki jestem od mojego celu. Zmierzam wprost do niego, nie zatrzymując się po drodze, a ów cel, jakby się cofał przedemną. Nie żądam przecież rzeczy niepodobnych, gdyż pragnę tylko żony odpowiadającej mojemu wykształceniu i kochającej mnie dla mnie samego. Cóż tu tak nadzwyczajnego, kiedy mógł tego dokonać Piotr w swojej sferze, gdy tymczasem ja napróżno się trudzę w mojej, i nie znaleźć nie mogę? A cóżem ja gorszego od Piotra?

— Przynajmniej pod względem fizycznym. Czy masz częste od nich wiadomości?

— Niebardzo. Szczęśliwi są zwykle mało się udzielającymi. Magister nasz bawi się w dzieciństwo, zajmując się gospodarstwem, użyźnianiem gruntu, sadzeniem drzew i kopaniem rowów. Żona zdrowa, i o ile na to jej stan pozwala, gdyż w niedługim czasie spodziewają się przybycia Piotra II-go....

— Nie pytam nawet, czy się zawsze kochają?

— Jak w arce Noego. Ojczulek i mama rozczulają się w uwielbieniu dla synowej i pani Bourgarde, która rzeczywiście jest bardzo zadaną kobietą. Wszyscy pracują, bawią się, kochają, słowem są szczęśliwi.

— Czy nie przychodziła ci kiedy ochota zamieszkać przy nich z resztą pozostałych ci pieniędzy?

— Przyznam się, że nie. Wolę moje nudy, nad ich przyjemności. Zresztą nie nadeszła chwila rozpaczy.

I rzeczywiście, w tydzień potem wszedł promieniejący radością do sali audyjencyjnalnej.

— Brr... jakże tu zimno!...

— Pietnaście stopni, mój chłopcze, stosownie do przepisanej ustawy.

— Ale, bo widzisz, muszę się teraz trzymać bardzo ciepło, gdyż jestem bliski celu....

— Jakto, jesteś już na dobrej drodze?

— Znalazłem, czegom szukał.

Paweł zauważył zgrabność i wdzięk małego wzrostu panią, ale tak ładniutkiej i wątlej, że przez mikroskop należało jej piękność podziwiać. Tańczył z nią walca i o mało nie zgubił, tak była lekka. Olsniła go jej rozmowa, gdyż rzeczywiście szczebiotała jak słowik i to głosem tak wdzięcznym i melodyjnym, iż łatwo było uwierzyć w te metamorfozy, które Owidyjusz w swoich wierszach opiewa. Przeskakiwała z łatwością z jednego przedmiotu na drugi, a myśli jej odmieniały kierunek jakby za powiewem wietrzyku. Paweł spytał o nazwisko tej młodej damy, i dowiedział się, iż to nie była wdowa lub mężatka, jak sądził z pozorów, ale panna nazwiskiem de Stock. Świat jej przyznawał 25 lat i wielki majątek, na mocy czego Paweł szalenie w niej się zakochał.

W świecie ucywilizowanym naturalisci różnią dwa rodzaje roślin szlachetnej miłości: jedna jest dzika roślina, sama się zasiewa, rozwija w pełni bez żadnej uprawy, i głęboko zapuszcza swoje korzenie w całą naszą istotę, opiera się wichrom, burzom i gradom, otrzymawszy od natury dzielność i moc niepożyta. Druga jest ogrodową rośliną, która bądź dla swego kwiatu, bądź owoców uprawianą bywa; matka często ją zasiewa w sercu córki, by ją stopniowo przygotować do bogatego za mąż pójścia; często też dwie rodziny, pragnące połączyć się ściślejszym węzłem zakorzeniają w sercach swych dzieci sztuczną miłość, na kształt inspektowej rośliny; zdarza się również, że młody człowiek, chciwy zaszczytów i bogactw, jak się rzecz miała z Pawłem, usiłuje wzbudzić w sobie miłość obiecującą mu złote owoce. Roślina druga, pełna rozmaitych odcieni, powszechniejszą jest od pierwszej i choduje się zwykle w salonach, lecz jak wszystkie rośliny sztuczne jest nader wątła, wymagająca wiele zachodów, rzadko zdolną wytrzymać zimno, a nędzy nigdy.

Paweł przedstawił się baronowi de Stock w chwili właśnie, kiedy przegrywał w karty ogromne sumy z obojętnością milionera. Panna Stock wydała mu się wtedy tem miłszą, zwłaszcza gdy postrzegł na piersiach barona liczny szereg zagranicznych orderów. Przedstawił się następnie pani baronowej, bardzo szanownej matronie pokrytej starożytnymi brylantami, niby norymberska lalka. Gdyby nie miała tak ładnej córki, odkryłby w niej niejedną śmieszna stronę, i na odwrót gdyby nie powaga matki, dostrzegłby w córce pewną niewłaściwość postępowania i brak wyższego ukształcenia.

Cały wieczór tańczył z piękną Dorotką, szepeąc jej do uszka bardzo miłe słówka, zakrawające na oświadczenie miłosne, na które odpowiadała z przyjaznym uśmiechem. Baronowa po zasięgnięciu bliższych wiadomości dotyczących Pawła, zaprosiła go na środy.

Pan de Stock mieszkał w pięknym pałacyku własnym, mającym dziedziniec i ogród. Paweł znał się na meblach od czasu, jak je z takim trudem nabywał dla siebie, nadto miał pewne poczucie dobrego smaku. Mógł

się wprawdzie pomylić, jak niejedną na jego miejscu, bo też trzeba być specjalnym znawcą, aby odróżnić starożytny brąz od ladajakiej taniej mieszaniny, lub poznać od pierwszego rzutu oka czy to lub tamto krzesło wysłane włosem czy morską trawą. Paweł nie był w ciemni bity i sam przyznał, że wewnętrzne urządzenie baronowskiej siedziby zachwycało go wielce. Lokaje pysznie wyglądali w amarantowej liberyi, a akcent ich zatręcający z niemiecka, bynajmniej uszu nie raził. Można ich było wziąć za starych służących domu, może nawet wasalów zrodzonych w cieniu dębów odwiecznych, otaczających zamek baronów de Stock. Z urzędzenia domu i z codziennego rozchodu mógł wyprowadzić wniosek, że muszą mieć przeszło sześćdziesiąt tysięcy rocznego dochodu; to też Paweł uważał za najszcześniejszy ten dzień, w którym tak łaskawie został przyjęty od barona, utraktowany od baronowej, i mile powitany od baronówny. Mogł teraz bez przesady powiedzieć sobie: — „znalazłem.“

Dowiedziawszy się w połowie stycznia, że Dorota ma kwestować w kościele „Notre Dame,“ Paweł, co nigdy nie chodził na nabożeństwa, stał się na raz wielce pobożnym. Pewnej niedzieli ufetowawszy mnie wyborczym śniadaniem, i ubrawszy się elegancko udał się ze mną do kościoła, gdzie od razu z jego opisu poznałem pannę Dorotę, chociaż pominął bardzo ważny szczegół, że była czarą jak cyganka, co już jest fenomenalnym u Niemki.

Po skończonem nabożeństwie, gdy wierni wychodzić zaczęli, kwestarki klęcząc u drzwi kościoła, wzywały przechodzących o złożenie ofiary dla biednych. Dorota wabiła do siebie spojrzeniem ponętno-światowem. Włożyłem w jej aksamitny woreczek dwa su, jako jałmużnę od biednego studenta; Paweł zaś z ukłonem salonowym powitał kwestarkę, wręczył jej bilet tysiącfrankowy, złożony we czworo.

— Ileż ci zostaje? zapytałem po wyjściu z kościoła.

— Trzyście tysięcy franków i kilka centymów.

— To mało.

— Owszem, dosyć. Jałmużna, którą w tej chwili uczyniłem, zostanie mi stokrotnie zwróconą: „Centuplum accipies.“

Nie nie odpowiedziałem, pomyślawszy sobie o owych dziesięciu frankach biednego Piotra.

Wróciwszy do domu mój tak dobroczynny przyjaciel, skreślił mi kilka szczegółów o domowym pożyciu w starodawnych zamkach niemieckich. W jaskrawych kolorach odmalował mi owe wspaniałe uczy skrapiane tokajem i johannisbergiem, tłumne zebrania lśniące od wstęg i mundurów; owe salony, które przechowały tradycyjną modę Richelieu'go; owe cudowne polowania na których pada tysiące zajęcy, zalegających potem wszystkie jatki na 30 mil wokoło.

W tym czasie przyniesiono mu króciutki list od brata.

„Nie mam ci wiele do powiedzenia, pisał Piotr, życie nasze tak spokojne i jednostajne jak powierzchnia jeziora, a dni tak po-

<sup>1)</sup> Nowo przybyli lub przybywający pp. prenumeratorem początek powieści „Bliznieta“ otrzymują bezpłatnie — (P. R.)

dobne do siebie jak krople mleka wytaczanego z jednego naczynia. Robota w polu ustała, spędzamy więc długie wieczory przy domowym kominku, a znasz jego obszerność, nie zdziwisz się więc, gdy ci powiem, że się wszyscy przy nim mieścimy, a nawet pozostałe jedno miejsce, którego zajęcie od ciebie zależy. Ojciec zawzięcie grzebie w ogniu, znasz tę jego namiętność, może jedyną w życiu; odmówić mu pogrzebacza, byłoby to skrzywdzić go niezmiernie. Pani Debay i pani Bourgarde zajęte są szyciem kaftaników, przysposobianiem kołderek, haftowaniem czapczek; Emma zaś robi pończoszki z kaszmiru, ale na tak małą miarę, że wyglądają raczej dla lalki, niżeli dla dziecka. Widząc wszystkie te przygotowania, nie wiem, czy śmiać się czy płakać. Ukochana dziewczyna będzie miała prawdziwie królewską wyprawę. Jeśli mi Bóg da syna, postanowiliśmy na radzie familijnej nazwać go Pawłem, aby imię twoje szczęście mu przyniosło. Obawiam się tylko, aby nie chciał się wdać w swojego ojca, to też umieściłem twój portret w naszym sypialnym pokoju, aby się żona częściej mu przypatrywać mogła. Wnoszę, że mój Pawełek będzie tak samo niespokojny, jak stryj jego, gdyż matka zaczyna się na niego już skarżyć. Pisałem ci, że Emma z początku była cierpiąca, lecz kilka butelek Spa i nadzieja macierzyństwa przywróciły jej zdrowie, tak że teraz widocznie żyć zaczyna. Co do mnie, zawsze jestem ten sam, wyjąwszy to, że nie robię od pewnego czasu. Mógłbym zastosować do siebie słowa pewnego wieśniaka, który na zapytanie, czem jest, czem się zajmuje, odpowiedział: moja żona jest mamką.

Na przekór uniwersytetowi w Renne, rozprawy moje nie wiele postąpiły: wojna Peloponezka stanęła na śmierci Peryklesa a Corneille, pisarz komiczny zatrzymał się na Clitandrze. Bynajmniej mnie to nie smuci, gdyż chcę być najprzód ojcem, a potem doktorem. Ach bracie, żebyś wiedział, jak twoje przyjemności są błahe, w porównaniu z naszymi, tobyś rzucił wszystko, przyleciał do nas kuryerką, kwitując z reszty. Ciebie nam tu brakuje tylko, i gdyby nie to, bylibyśmy zupełnie szczęśliwi. Ojciec, gdy mowa o tobie, brwi marszczy, chociaż go pocieszam, że ty jeden zdołasz dopiąć celu któryś sobie zamierzył.

— Poczeźwi ludzie, rzekł Paweł, rzuciwszy list na stół, jakże się ucieszą gdy wkrótce do nich napiszę.

W kilka dni potem baron wszedł niespodzianie do jego mieszkania o godzinie dziewiątej z rana, a zwiędziwszy każdy zakątek i oceniwszy wartość ruchomości, zdawało się, że był wielce zadowolonym. Bo też co prawda, mieszkanie Pawła okazywało bogatego lokatora. Był to bardzo przyjemny człowiek z tego Niemca, a chociaż cały świat wiedział, że był bankierem we Frankfurcie, nigdy jednak nie mówił o swoim majątku; nikt mu nie zaprzeczał tytułu, a jednak nigdy się nim nie chełpił. Jego posiadłości, zamki, lasy najmniejszego kłopotu mu nie sprawiały, nigdy się też niemi przed Pawłem nie chwalił, a z tego już wszystkiego mógł poznać prawdziwego szlachcica.

Co do Pawła, ten był zanadto ucziwy, aby

upewniał kogo o swoich urojonych bogactwach, pozostawiając wszystko ludzkiej imaginacji; nie przeczył tym, którzy w rozmowie wyrażali się: „pan, co jesteś tak bogatym.“ Nie przechwalał się nigdy, a gdy wspomniano o jego rodzicach, wyrażał się bez przesady, że zamieszkują swoje posiadłości w Bretanii, w czem bynajmniej kłamstwa nie popełniał. Zrobiłem mu uwagę, że w końcu wszystko wydać się musi, i zagniony będzie wyznać prawdziwe swoje nazwisko i rzeczywisty stan majątkowy, lecz on rachował na to że baron dosyć jest bogatym, aby pominąwszy wszystkie względy, nie miał zezwolić na małżeństwo córki.

— Zresztą, dodał Paweł, jestem pewny, że Dorota mnie kocha, a gdy rodzice przekonają się, że jestem koniecznie potrzebny do jej szczęścia, na nic zważać nie będą, a mianowicie na wzgląd finansowy. Aby ich jednak nie oszukiwać, wyznam wszystko przed ślubem.

Nie zalecał się publicznie pannie de Stock, lecz tylko widywał ją codziennie w salonach, a stosunki ich osłaniając się tajemniczością, tem więcej miały uroku.

Światowe względy, potrzeba udawania i inne drobne przeciwności, tem silniejszymi czyniły ich uczucia, które powstawszy w salonie, miały zostać uwiecznione przed ołtarzem. Owa tajemniczość i potrzeba ukrywania się potężnym są żywiołem, zdwajającym rozkosze serca i umysłu, stąd też wypływa, że wszelka myśl w formę wiersza ujęta, wydaje się piękniejszą od wyrażonej prozą. Paweł i Dorota pisywali do siebie i wierszem i prozą, zamieniając swoje liściki przy podnoszeniu chustki, lub pod osłoną wachlarza. Baronowę bawiły te niewinne wykręty, gdyż pozwoliła córce kochać pana de Bay.

Przy końcu lutego, Paweł zebrawszy całą swoją cywilną odwagę, postanowił oświadczyć się państwu de Stock, którzy uprzedzeni przez córkę, zezwolili na uroczyste posłuchanie.

— Panie baronie, pani baronowo! rzekł, mam zaszczyt prosić was o rękę waszej córki, pragnę, abyście państwo poznali stan mojego majątku, pośpieszam więc....

Baron przerwał mu gestem prawdziwie pańskim.

— Wstrzymaj się, panie hrabio, pomińmy wszelkie kwestyje tyjące się tego przedmiotu. Zna cię cały Paryż, a moja córka cię kocha. Te dwie okoliczności są dostateczne, i gdyby imię twoje było nie znane, i gdyby ojciec stracił majątek, zawsze powiedziałbym: Dorota jest twoją.

Uściskał Pawła, a baronowa dała mu rękę do pocałowania, mówiąc:

— Nie znasz pan naszych malowniczych Niemiec. Jesteśmy tak wszyscy..., przynajmniej w wyższej sferze.

Wśród największej radości Paweł uczuł jakby wyrzut sumienia. Nie mogąc oszukiwać tak znacznych ludzi, rzekł do siebie, i byłbym największym łotrem, żebym nadużył ich dobrej wiary. Zaczął więc znowu:

— Panie baronie, szlachetne zaufanie, jakim mnie obdarzasz, zmusza mnie do udzielenia ci kilku szczegółów dotyczących.....

— Prawdziwie mnie boli to naleganie

z pańskiej strony, panie hrabio. Zdaje mi się, że dla tego obstajesz przy tem, aby nas zmusić do okazania ci dowodów naszego tytułu i majątku.

Baronowa poparła te słowa męża przyjaznym gestem, mającym niejako znaczyć: Nie nalegaj więcej, bo jest bardzo drażliwym.

— Odłóżmy to na inny raz, pomyślał Paweł, bądź co bądź, w dniu podpisania intercyzy ślubnej wszystko się musi wyjaśnić.

Ale baron nie myślał o żadnych kontraktach przedślubnych, mówiąc:

— Te wszystkie zobowiązania się, podpisy i zastrzeżenia są czynnościami bezwarunkowo poniżającymi godność szlachcica. Kochacie się wzajemnie, pocóż obierać rejenta za pośrednika waszych uczuć. Sądzę, że miłość wasza bynajmniej nie straci na braku stemplowego papieru.

— Być może jednak, że panu źle przedstawiono moje położenie i mój stan majątkowy.

— O niczem się nie dowiadywałem, nikt mnie więc w błąd nie wprowadzał, a wiem tylko tyle, że się podobasz mojej córce, co już jest dla mnie dostateczną rękojmią. Twoich pieniędzy nie potrzebuję, a jeżeli jesteś bogaty, tem lepiej; jeśliś ubogi, tem gorzej. Oto, co zaspokoi twoje sumienie: nie masz, i moja córka podobnie; nazywasz się Paweł, a ona Dorota. Daję wam ojcowskie błogosławieństwo. Jakże czujesz zadowolony?

Paweł płakał z radości, a tymczasem wprowadzono Dorotę.

— Przystap, moja córko, rzekła baronowa, i powiedz hrabiemu, że zaślubiasz jego osobę, nie zaś imię i majątek.

— Kochany Pawle, odrzekła Dorota, kocham cię nad życie.

Naręczona Pawła mówiła szczerą prawdę.

Ślub odbył się w marcu, i czas po temu był wielki, gdyż podarunki ślubne wypróżniły do reszty portmonetę Pawła. Nie służyłem mu za świadka, gdyż zastąpiły mnie większe figury. Piotr zaś oczekując rozwiązania swojej żony, nie mógł przybyć do Paryża.

Przyjąłem chętnie na siebie obowiązki historyka, i posłałem Piotrowi szczerą głowę opis wesela. Dorota w białej atlasowej sukni wzbudziła podziw i uwielbienie wszystkich, tak iż ją zwano śniadym aniołkiem. Po ślubie baron wydał u siebie obiad na czterdzieści osób, między którymi i ja znajdowałem się, jako zaproszony od Pawła. Wstawszy od stołu Paweł przedstawił mnie żonie, mówiąc: Kochana Doroto, jest to jeden z moich najdawniejszych towarzyszy; który kiedyś będzie nauczycielem naszych dzieci. Spodziewam się, że mu będziesz rada, że względu na to, że najlepszymi przyjaciółmi są ci, którzy są najstarsi.

— Panie profesorze, odrzekła piękna Dorota, będziesz zawsze pożądanym w naszym domu. Byłabym szczęśliwą, gdyby Paweł przywiódł mi jako dar ślubny wszystkich swoich przyjaciół... Czy mówisz pan po niemiecku?

— Wiecznie żałowałem i żałować będę, że nie mogę czytać w oryginale „Hermannia i Doroty.“

— Wierz mi pan, żeś niewiele na tem stracił, opuszczając tę nudną sielankę, zwłaszcza

mając u siebie tak genialnego jak Balzak pisarza.

## IV.

Rozmawiając z piękną hrabiną i tańcząc wśród tego wytwornego towarzystwa zapomniałem o bożym świecie, tak iż spóźniłem się do szkoły o całą godzinę, za co skazany zostałem na dwa tygodnie aresztu. Uwolniwszy się wreszcie udałem się natychmiast do Pawła, którego zastałem samego; z rozpaczony wyrwał sobie włosy, które jak nadmieniałem były bardzo piękne.

— Mój przyjacielu, zawołał głosem litości wzbudzającym, oszukano mnie szkaradnie.

— Już! tak prędko?

— Mój teść tak jest bogatym jak ja, posiadając te same tytuły; nazywa się po prostu Stock, a za cały majątek ma dwadzieścia tysięcy długów.

— Czy to być może?

— Nie ma najmniejszej wątpliwości, gdyż żona wyznała mi wszystko po weselu, dodając jeszcze, że pozostaje im tylko pięćset franków.

— Ależ dom, wart przynajmniej sto tysięcy.

— Cóż kiedy niezapłacony. Pan Stock był bogatym lat temu pięć lub sześć, kiedy zajmował piękną posesję w Frankfurcie, która mu do 30 tysięcy przynosiła dochodu. Ale że był zapamiętałym szulerem, stracił wszystko w ruletę, djabelka i inne gry azardowe, przez które Niemcy cały świat obdzierają. I tak się porządnie wykierował, że na początku zimy pozostawało mu z całego majątku zaledwie 50 tysięcy, a do tego szalona namiętność gry i przyzwyczajenie do rozrzutności, które go już nigdy nie opuszczały. Przywiedziony do ostateczności ułożył sobie genialny plan wydobycia się z kłopotów; ulokował bardzo szczęśliwie resztki swojej fortuny. Ulokował zaś je na Dorocie z którą przyjechał do Paryża; tu obracał córką i kapitałem w ten sposób, aby złowić bogatego zięcia, któryby go żywił, odziewał i udzielał roczną pensyjną pozwalającą mu odwiedzać szulernie. Czy może być co niegodziwszego?

— Powstrzymaj się, rzekłem. Czy nie wiesz też w jaki sposób mówi on teraz o tobie?

— Co za różnica! Ja nie oszukałem go, bom szczerze chciałem mu wyznać stan moich interesów, ale zawsze wstrzymywał mnie od tego. Teraz wiem dla czego, nie dziwi mnie ta zbyteczna ufność z jego strony. On wciągnął mnie w przepaść, na dnie której obydwaj spoczywamy.

— Czyście już rozmówili się?

— Natychmiast pobiegłem do niego, aby go zmieszać i zawstydzić, a chociaż nie szczęśliwie wyraziłem, zamiast się odgrażać i wzajemnie obwiniać, odpowiedział mi spokojnie wzruszonym głosem, że łzami w oczach: Nie mamy szczęścia obadwaj, gdyż każdy z nas mógł ziścić swoje nadzieje. To fatalność, żeśmy się spotkali.

— Dobrze powiedziane.

— Cóż się teraz ze mną stanie?

— Czy chcesz, abym ci szczerą radę udzielił?

— Zapewne, gdyż nie jesteś w stanie inaczej mi pomóc.

— Kochany Pawle, tylko jeden uczciwy sposób wycofania się z tak smutnego położenia. Pospłacaj długi o ile ci na to fundusze pozwalają, a zakopawszy się w jakiej skromnej dzielnicy miasta, kończ swoje prawne kursa, i zostań adwokatem. Nie odwykłeś zupełnie od pracy i masz zdolności; a jeśli będziesz umiał korzystać ze stosunków obecnie zawiązanych, ręczę ci, że odzyskasz stracony czas i majątek.

— Tak, gdybym nie był żonaty; jak widzę, mój kochany, mało masz doświadczenia, kiedy nie wiesz o tem, czego Balzak dawno już dowiódł, że mężczyzna póki jest kawalerem, dojść może do wszystkiego, ale gdy się ożeni, wyczerpuje swoje siły w walce o zaspokojenie potrzeb domowych. Chcesz, abym pracował; obarczony rodziną, mając na karku żonę, teścia, siostrę i dzieci, których się spodziewać można, a to wszystko w mieszkaniu, za które się płaci 400 fr. rocznie. Nigdybym nie podolał tak ciężkiemu zadaniu.

— Chwyć się więc innego środka. Zawieź swoją rodzinę do Bretanii i zamieszkać z nią w domu wuja Yvona, który jest dosyć obszernym, aby was wszystkich pomieścił. Stół wysuną, dodadzą do obiadu jedną potrawę więcej, i wszystko pójdzie dobrze.

— I zrujnujemy ich!

— Wcale nie. Emma poprzestanie na skromnej sukni, a Piotr przedłuży istnienie swojego orzechowego paltota.

— O znam ich złote serece, ale ty nie znasz rodziców mojej żony. Dorota nie lubi się bawić, ale jej rodzice zakładają na tem całe swoje szczęście. Pani Stock przepędza całe godziny przed lustrem, układając miny i ukłony. Pan Stock byłby nieznośnym Bretonem, dąsałby się ciągle na naszą gościnność a wymawianiem chleba, który mu ofiarujemy poniżałby nasz ukochany domek.

— Więc zostaw rodziców a zabierz żonę, którą łatwo nagniesz do swojej woli.

— Nie mogę opuszczać tego starca zadłużonego po uszy, gdyż bądź co bądź jest to ojciec mojej żony, względem którego podobne postępowanie uważałbym za barbarzyńskie i nie-ludzkie.

— Niech sprzeda meble, mające do 20 tysięcy wartości.

— A z czegoż następnie żyć będą ci nieszczęśliwi ludzie.

— Cieszy mnie że ich żałujesz, ale cóż to pomoże, kiedy sam się znajdujesz w tak przykrem położeniu, że wszystkie rady już wyczerpał.

— Postaram się o urząd. Wszyscy myślą, że niczego nie potrzebuję, dadzą mi go więc tem łatwiej.

Straciwszy miesiąc na próżnych staraniach, nic nie wskórał. W tym czasie dowiedział się, że Emma została matką tego chłopca. Piotr pisał: „Spodziewam się, że mi nie odmówicie tej radości, i ty wraz z twoją śliczną Dorotą będziecie chrzestnymi rodzicami naszego Pawelka. Niecierpliwie wyglądamy waszej karety.“

Paweł nic nie doniósł rodzinie o swojej przysgodzie, bo po cóż miał zachmurzać ich tak błogie, tak spokojne szczęście. Przyznam się, że się nie spodziewałem po biednym chłopcu,

że się zdobędzie na tyle odwagi. Aby wystarczyć codziennym potrzebom, sprzedawał najdroższe swe sprzęty i obrazy, pomimo to był czułym, prawie nadskakującym dla swojej żony, chociaż obecny niedostatek, niepewna przyszłość i żal po przeszłości na długo popsuły jego zwykły dobry humor. Dorota pocieszała go, jak umiała najlepiej, a jeśli czasem płakała, to pokryjomu. Część ślubnych darów spieniężyła na rzecz długów ojca. Jakże inaczej byłby im upłynął miodowy miesiąc, gdyby młodemu małżeństwu na niczem nie zbywało i gdyby pan Stock nie miał długów, pomimo jednak wszystkich tych nieprzyjemności miłość prawdziwa łączyła serca Pawła i Doroty, którzy tulili się do siebie jak dzieci spłoszone burzą, i byli szczęśliwi, o ile na to pozwalało ich smutne położenie.

Odwiedzałem ich regularnie co czwartek i niedzielę, i za każdym razem odkrywałem w nich nowe dotąd mi nieznanne skarby dobroci, tak że coraz bardziej przywiązywałem się do nich.

Pewnego czwartku, około południa, zetknąłem się na środku ulicy z małym jegomością w aksamitnej kurtce. Była to dawna znajomość, którą nieco zaniedbałem od czasu małżeństwa Piotra.

— Dzień dobry Petit-Gris, zawołałem. Nakryjże głowę. Czyś szedł do mnie?

— Tak, panie. Chciałem właśnie prosić o radę.

— Czy się aby co złego u was nie stało? Jakże się miewa żona, czy zawsze pracujecie dla dobra Paryża?

— Ciągle. I mogę śmiało powiedzieć, że tak wywijamy miotłą, że nikt panu nie będzie robił wymówek, żeś nam wyrobił tę posesję.

— To nie ja Petit-Gris, tylko jeden z moich przyjaciół, któremu teraz chciałbym się w ten sam sposób odwdziżyć.

— Jakże się powodzi panu Piotrowi, a nasze panie czy zdrowe?

— Dziękuję. Piotr doczekał się już syna, wszyscy są w wybornym zdrowiu.

— Otóż wiadomość, z którą przyszedłem do pana. Dziś rano, gdy skończyłem moje czynności i wróciłem do domu, aby spożyć śniadanie, które mi odgrzało pocziwe żonisko, zastałem jakiegoś jegomościa, niezbyt wielkiego, raczej małego wzrostu, i mniej więcej mojego wieku. Pytał mnie, czy mieszkalem w tym domu, gdy tu przebywała pani Bourgarde. Ja nie mając nic do utajenia, powiedziałem, jak było rzeczywiście, gdyż nie uczyniwszy ludziom krzywdy, nikogo nie potrzebuję się obawiać. Lecz gdy się dowiedział, że znałem osobiście te panie, zaczął mnie dopypywać o różne rzeczy: czy panienka poszła za męża, czem się zajmuje jej małżonek, jak długo mieszkali w tym domu, co jedli na obiad, wreszcie chciał się dowiedzieć o ich obecnym mieszkaniu. Widząc że to formalna inkwizycja, nie chciałem więcej odpowiadać. Nie podobał mi się ten jegomość, gdyż dziwnym poglądał okiem na nasze ubogie ściany. Koniecznie pragnął dostać adres pana Piotra, lecz ja nie wiedząc, jaki z tego chce uczynić użytek, rzekłem że na razie nie pamiętam, ale potem mogę się dowiedzieć. Obie-



cał mi sowitą nagrodę w razie gdybym mu przyniósł adres, o którym mowa. Odpowiedziałem, że mając dwie posady rządowe nie potrzebuję niczyich pieniędzy. Zostawił mi swój adres, który panu przyniosłem, abyśmy się naradzili, co nam dalej czynić wypada.

Petit-Gris wyciągnął z kieszeni elegancki bilet wizytowy, na którym wyczytałem.

„Ludwik Bourgarde w hotelu książąt.“

Ludwik Bourgarde! to jakiś krewny, rzekł Petit-Gris.

— Stoi w hotelu książąt! więc musi być bogatym.

— Nie mógł przyjść wcześniej, gdy biedaczki umierały z głodu! Przychodzi wtedy kiedy go wcale nie potrzeba.

— Dla tego też, mój kochany Petit-Gris, teraz przybywa. Dowiedział się może o zamążpójściu panny Emmy i przychodzi prosić o przebaczenie. Trzeba mu dać adres.

— Natychmiast pójdę. Czy daleko stąd do hotelu książąt.

— Nie fatyguj się: przechodząc wstąpię po drodze i pomówię z tym panem. Do widzenia; jeśli co ważnego zaszło nie omieszkam cię zawiadomić.

Idąc myślałem o zawiedzionym w swych nadziejach Pawle i o Piotrze, któremu Bóg zsyła bogatego krewnego.

Zapytałem służbowego o mieszkanie pana Bourgarde, a ten zaprowadził mnie do pięknego apartamentu na pierwszym piętrze od frontu. Czekaając na gospodarza przeszło kwadrans zniecierpliwiłem się do tego stopnia, że zacząłem go po eichu przeklinać; wreszcie zniecierpliwiony tak długim czekaniem zawołałem na pół głośno: A ty błaznie, jesteś ich krewnym, a stajesz w hotelu książąt, nazywasz się Bourgarde, a każesz na siebie czekać w przedpokoju!

Za otwarciem się drzwi, nie spojrzawszy nawet na wchodzącego, popuściłem cugle mojej wyobraźni, i odmalowałem mu w żywych kolorach całą przeszłość tych nieszczęśliwych istot, mieszczącą w sobie tylko łzy i rozpacz.

Przedstawivszy się jako przyjaciel pani i panny Bourgarde, opowiedziałem w jaki sposób je poznałem i zyskałem ich zaufanie, chociaż nie należałem do rodziny. Następnie wystawiłem mu ich nędzę, a zarazem odwagę, cnotę i pracę. Nie szczędziłem słów i powtórzyłem kilkakrotnie nazwisko Bourgarde, wymawiając je z pewnym, znaczącym przyciskiem.

Wymowa moja skutkowała, gdyż pan Bourgarde zawstydzony i dręczony wyrzutami, zakrył twarz rękami, nie śmiejąc spojrzeć mi w oczy. Aby do reszty odnieść zwycięstwo przedstawiłem pełne delikatności postępowanie Piotra, opowiedziałem historię o płaszczu zastawionym dla dziesięciu franków, oraz jak sobie wszystkiego odmawiał, aby zaspokoić potrzeby swoich przyjaciół. Nie nazywał się Bourgardem, nie był żadnym ich krewnym, a jednak miał tak wielkie współczucie dla nieszczęśliwych, i okazywał je w tak dobitny sposób, że zaślubił opuszczoną sierotę, zawiózł do Auray, do domu swych przodków i dał jej nazwisko, majątek, rodzinę. Obecnie, Emma Bourgarde jest szczęśliwą żoną i matką, nie potrzebuje niczyjej pomocy i pogardza sa-

molubnym światem, co się z nią obszedł bez litości...

Pan Bourgarde odsłonił twarz zalaną łzami. — To moja córka, rzekł, dziękuję ci, że tak kochasz to biedne dziecko, pozwól niech cię ucałuję.

Nie dałem się prosić, i nie zapytawszy nawet, skąd się wziął i jakim sposobem zmartwychwstał, ucałowałem go serdecznie w oba policzki. Łzy jego podbiły mnie, a łzy prawdziwego uczucia nigdy nie kłamią.

Gdy minęło pierwsze wzruszenie, postrzegł że ciągle był zdziwiony.

— Wyjaśnię ci wszystko, rzekł, ale wprzód niech zobaczę żonę i córkę. Jadę do Auray. Do widzenia.

— Nie tak spieszenie, bardzo proszę. Mam dwa powody, które pana powstrzymają; najprzód pociąg odchodzi dopiero o siódmej godzinie, a powtóre wpadłszy tak niespodzianie i nagle do Auray, zabiłbyś żonę i córkę, a w dodatku zabobonni Bretończycy mając cię za upiora, nadziałiby cię widłami. Siądź pan więc i opowiedz mi swoje przygody. Jakim sposobem ocalałeś się w czasie burzy, czy na odłamku masztu, czy na jakiej desce?

— Mój Boże! bardzo prostym sposobem. Gdy okręt zatonął, nie byłem już na jego pokładzie, ponieważ przed tygodniem wylądowałem w Rio-Janeiro, gdzie okręt miał się zaopatrzyć w żywność i towary. Dostawszy się na ląd, udałem się do kilku Francuzów tam osiadłych, do których miałem listy polecające, a między innymi do pewnego kupca lasów. Gawędziliśmy długo, wreszcie zgadało się o moim zamiarze, a gdy przedstawiłem mu model mojej maszyny, został zachwycony, upewniając mnie że wynalazek był znakomity, lecz nie będę mógł korzystać z niego dla braku spółników. Natomiast, dodał, zrobię panu projekt, którym zapewne nie wzgardzisz. Przenieś się tu z całym ładunkiem i załóż fabrykę machin, które odtąd znane będą pod nazwą separatorów Bourgarda. Zbudowanie maszyny kosztować cię będzie na czysto pięćset franków, a sprzedać ją możesz za tysiąc; zaopatrywać się w nią będą wszyscy górnicy udający się do San Francisco. Wierz mi, że to lepsze i większe zapewni ci korzyści niż w kopalniach Kalifornii. Jeśli nie masz pieniędzy na założenie fabryki, dostaniesz ich tu łatwo, gdyż zyskowne przedsięwzięcie, zwłaszcza w Ameryce, znajduje zawsze gotowe kapitały. Jeśli zechcesz mogę być twoim współnikiem.

Tym sposobem założyliśmy dom handlowy pod firmą Chartier Bourgarde et Comp., której akcje znajdują się na giełdzie paryskiej. Pierwiastkowo miały 500 fr. wartości, ale obecnie stoją po 5000 fr. Mając w rękę tysiąc podobnych akcji spodziewam się z odkryciem nowych kopalni w Australii, powiększyć mój majątek, wynoszący obecnie przeszło pięć milionów franków.

Dosyć już o interesach, a teraz powiedz mi pan, jakim sposobem wszystkie moje listy pozostały bez odpowiedzi?

— Znajdziesz je pan co do jednego na poczcie, albowiem te panie zamieszkawszy na ulicy Traversine, nie pozostawiły swojego adresu na dawnym mieszkaniu. Dowiedziawszy się

o rozbiściu „Belle Antoinette“ znikąd nie spodziewały się pomocy.

— Nie wyobrazisz sobie, kochany panie, com wycierpiał przez te dwa lata, nie odebrawszy żadnych wiadomości od najdroższych mi istot.

— Zdaje mi się że ich cierpienia były daleko większe od pańskich.

— Wcale nie, ponieważ opłakiwały nieszczęścia pewne, niewątpliwe, gdy tymczasem ja, bogacz, będąc przykuty do miejsca, nie mogłem osobiście pospieszyć im z pomocą, i tworzyłem sobie w myśli tysiące nieszczęść przypuszczalnych, którym zapobiedz nie byłem w stanie. Przekłeta cholera z roku przeszłego nabawiła mnie najwięcej bezsensnych nocy spędzanych we łzach i gorączce. Przesłałem wreszcie ogłoszenie do „Presse“ i do „Constitutionela“, lecz i to pozostało bez odpowiedzi. Zapewne bardzo rzadko czytujesz pan gazety,

— Rzecze wiście, prawie nigdy.

— Przeglądając codziennie zagraniczne pisma peryodyczne, wyczytałem razu pewnego w „Siécle“ o małżeństwie Emmy.

— Pozostaje więc teraz zawiadomić je w sposób bardzo ostróżny o pańskim przybyciu. Zdaje się, że najlepiej będzie wyprawić naprzód posła, w osobie brata Piotra, któryby stopniowo przygotował pańską rodzinę do tak niespodzianego szczęścia. Jestto młodzieniec bardzo wymowny, który wybornie sprawi się może z powierzonego mu zadania.

W kilka godzin pan Bourgarde i młode małżeństwo pędzili drogą do Vannes, gdzie stanawszy, zatrzymali się chwilę. Paweł i Dorota zostawivszy pana Bourgarde w hotelu wsiedli do karety i podążyli do Auray.

Zacna wdowa po szczęśliwej przemianie swojego losu, uważała za możliwe spełnienie się najgorętszych życzeń, to też nie wzruszyła się zbyt mocno gdy Dorota napomknęła, że pan Bourgarde może jeszcze żyje, lecz odpowiedziała ze spokojnym uśmiechem: To być może Bóg tak miłosierny! A gdy Paweł dodał, że maszyna pomysłu jej małżonka ocalała, a więc i wynalazca prawdopodobnie nie zginął, wtedy tak silna nadzieja wstąpiła do ich szlachetnego serca, iż w chwili kiedy się pan Bourgarde ukazał w Auray, obiedwie z całą nawnością zawołały:

— O! myśmy wiedziały, że żyjesz jeszcze!

Pan Bourgarde nie wyglądał na wielkiego pana, ale też nie miał miny pyszałkowatego dorobkiewicza. Spotkawszy go w Paryżu, powiedziałbyś, że to bogaty jubiler z ulicy Orleańskiej. Obdarował Emmę dwumilionowym posagiem, ku wielkiemu zdumieniu Piotra, który rzekł z uśmiechem: Ależ to prawdziwy intrygant ze mnie, gdy korzystając ze sprzyjających mi okoliczności, ułowiłem tak bogatą żonkę.

Piotr zbudował dla swojej rodziny wspólny zamek, w którym zamieszkawszy, ukończył swoje rozprawy i otrzymał stopień doktora. Tak iż nie masz we Francji dwóch doktorów równie bogatych i pracowitych, Emma przynosi w ofercie corocznie swojemu mężowi pięknego i zdrowego chłopczyka.

Paweł zapomniiał o swoim wzorze p. de Marsay: ma już dwie córki i utył trochę. Ustat-

kował się zupełnie, żyje ciągle na wsi wśród rodziny, wszedłszy z Piotrem do wspólki, która im do stu tysięcy franków przynosi czystego dochodu.

Państwo Stock udali się do Ameryki: do fabryki p. Bourgarda, gdzie mniemany baron zyskowną objął posadę, ale żyłka do kart wciąż go pociąga, tak iż zwykle przegrywa swoją pensją miesięczną.

Petit-Gris nie mieszka także w Paryżu, lecz złożywszy swój urząd przeniósł się do Auray, gdzie utrzymuje w należyty porządku cały zamek rodziny Debay.

Kilka razy do roku otrzymuję wiadomości od moich przyjaciół w Bretanii. Niedawno przysłali mi kilkanaście tuzinów ostryg i baryłkę sardynek. Sardynki były dobre ale ostrugi popsuły się w drodze.

KONIEC.

## Korespondencya Opiekuna Domowego.

Paryż, d. 19 grudnia 1875 r.

Na posępna jesień i na chłodną zimę z całego kraju przybywają Francuzi do Paryża, by wesoło spędzić krótkie pochmurne dni a długie wieczory. Jedni śpieszą do kościołów, na nauki sławnych kaznodziejów; drudzy udają się na koncerta, widowiska teatralne i bale maskowe; inni nareszcie przesiadują po bibliotekach, aulach uniwersyteckich i salach odczytów publicznych.

Publiczne biblioteki w Paryżu zimową porą są wielkim dobrodziejstwem dla biednych studentów i podupadłych literatów. Każdemu jest wolny wstęp do nich; publiczność czytająca ma w nich darmo ciepło i światło, — podwójne światło: materyalne i moralne. Niektóre bywają otwarte codzień od 10-tej rano do 3-tej po południu, i od 6-tej do 10-tej wieczorem.

Z polecenia ministra oświaty publicznej ogłoszono niedawno statystykę bibliotek paryskich. Podajemy ją tutaj w cyfrach okrągłych.

Biblioteka Arsenалу, liczy 200,000 tomów i 8,000 rękopisów.

Biblioteka Sorbonny, posiada 80,000 tomów.

Biblioteka szkoły medycznej liczy 35,000 tomów, wyłącznie z działu medycyny i nauk przyrodniczych.

Biblioteka narodowa, na ulicy Richelieu, w ogromnym gmachu pomieszczona, zawiera 1,700,000 tomów; 80,000 rękopisów; 1,000,000 rycin i kart geograficznych, oraz 120,000 medalów.

Biblioteka Mazaryńska ma 200,000 tomów i 4,000 rękopisów. Posiada drogocenne zbiory z bibliografii francuskiej.

Nareszcie biblioteka świętej Genowefy liczy 160,000 tomów drukowanych i 350,000 rękopisów. Tu się mieszczą bogate zbiory z działu prawniczego i z literatur starożytnych.

Razem w sześciu publicznych bibliotekach paryskich znajduje się: 2,375,000 tomów drukowanych, 442,000 rękopisów i 1,120,000 rycin, medalów i t. d.

Jest więc w czem się grzebać, nie tylko dla Paryżanów, ale i dla całego świata. W tej

statystyce pomijam jeszcze inne księgozbiory, które się znajdują przy ministeriach, oraz Bibliotekę, na *Quai d'Orléans*, która liczy około 40,000 druków i z 10,000 rycin. Dodajmy do tego z kilkadziesiąt pierwszorzędných księgarń, a będziemy mieli wyobrażenie o bibliograficznym bogactwie Paryża.

Od połowy grudnia księgarnie paryskie uстроiły się w ozdóbne książki na gwiazdkę. Jest tam czem nasycić oko i nakarmić zgłodniały umysł. Rodzice kupują książki dla dzieci, a kawalerowie dla panien. Nie żałuje kawaler wydać kilku franków na ozdobną książkę dla panny, bo w zamian na gwiazdkę odbiera od niej pocałunek. Co do mnie, chętnie się stosuję do tego zwyczaju: kupuję na gwiazdkę książki dla młodych Francuzek i odbieram od nich serdeczne pocałunki. Od lat dwunastu nie miałem przyjemności ucałować Polki!...

Osobliwością księgarską w Paryżu na tegoroczną gwiazdkę jest *Illustrowany Londyn* przez Gustawa Dorégo. Ogromna księga, bogato oprawna, zawiera widoki wielkiego miasta i zajmujące typy jego mieszkańców. Pouczającego tekstu dostarczył Ludwik Enault. Jako dzieło sztuki, *Illustrowany Londyn* ma pierwszeństwo przed *Illustrowaną Biblią* Dorégo i *Bajkami* Lafontena.

W rzędzie książek na gwiazdkę przygotowanych, zasługują na szczególniejszą uwagę publikacje przeznaczone dla dzieci i młodocianego wieku. Z początkiem bieżącego stulecia jeszcze nie istniała prawdziwa literatura dla młodzieży. Po domach arystokratycznych dawano dzieciom do czytania powieści z *historii świętej*, z których nie wiele czego mogło się nauczyć młode pokolenie. Kazano także czytać dzieciom *Contes de Fées* Berquin'a, utwory pani Cottin i pani de Ségur, z których młodzi czytelnicy dowiadawali się o różnicy, jaka zachodzi między bogaczami i ubogimi. Dopiero ostanieniami czasy znaleźli się w Paryżu księgarze, literaci i uczeni, którzy poczęli wydawać pożyteczne książki dla dzieci i dorosłej młodzieży. Na czele tego wydawnictwa stanęła księgarnia Hetzel'a, której publikacja *Bibliothèque d'Education et de Récréation*, używa wielkiej wziętości we Francji i zagranicą. Hetzel ma licznych spółzawodników, mimo to księgarnia jego będzie zawsze stała w pierwszym rzędzie pod względem wydawnictwa dziełek dla młodego pokolenia. Francya z wdzięcznością będzie wspominała imię Hetzel'a. Światły księgarz trzyma się tej zasady: żeby wpłynąć na dziecko, należy mu się przypodobać i zarazem podobać się jego rodzicom. Stąd też książki przez Hetzel'a wydawane dla wieku młodocianego, z równą przyjemnością bywają czytane przez dzieci i przez ich rodziców. I dziadunio i babunia i ojezulek i mateczka wesoło, z uwagą słuchają powieści, które dziatwa na głos czyta wieczorem, zasiadłszy przy okrągłym stole. Nietylko słuchają powieści, ale kolejno biorą książkę w rękę, na wszystkie strony ją oglądają, bo pięknie na gładkim papierze wydrukowana i ślicznymi rycinami ozdobiona! Roskosz!...

*Bibliothèque d'Education et de Récréation* powiększyła się w tym roku kilku tomami. Pierwsze miejsce w tym szeregu zajmuje książka *Les Serviteurs de l'estomac* przez Jana Macégo,

która stanowi dalszy ciąg sławnego dziełka *Histoire d'une bouchée de pain*, tegoż autora. W *Kęsie chleba* Macé opisał dzieje „machiny do jedzenia,” zaś w *Posługaczach żołądka* opisuje „machinę do chodzenia.” Książka znakomicie illustrowana przez Froelich'a, który, jak Gustaw Doré jest Alzatezykiem.

*Les serviteurs de l'estomac* stoją obok utworów, które już zyskały wziętość po całym świecie, jak *La physionomie et les mouvements d'expression* Gratiolet'a; *Fondateurs de l'Astronomie* Bertrand'a; *La plante* Grimard'a; *Sciences usuelles* Du Temple'a; *Histoire d'une chandelle* Faraday'a.

Są to dziełka poświęcone umiejętnościom. Do nich dodać należy jedyne w swoim rodzaju dziełko: *Histoire de l'habitation humaine*, napisane przez znakomitego architekta Viollet-le-Duc. W przeszłym roku ten sam autor ogłosił prawdziwe arcydzieło: *Histoire d'une forteresse*, która w przystępny sposób opowiada dzieje sztuki wojennej.

Oprócz *Bibliothèque d'Education et de Récréation*, księgarnia Hetzel'a wydaje *Magasin d'Education et de Récréation*, który już liczy 22 tomy. W tym *Magazynie* mieszczą się prawie wszystkie dzieła Juliusza Verne'a, zdolnego pisarza, który w formie powieści umie popospolitować umiejętność. W tym roku Verne wydał *Chancellor'a* i *éHe mysterieuse*, które doznały nadzwyczajnego powodzenia. Młodzi czytelnicy z niecierpliwością wyglądali numerów *Magazynu*, w których się znajdowały zajmujące epizody z *Wyspy tajemniczej*.

W dziale literatury nadobnej, dla młodocianego wieku przeznaczonej, słynie Stahl, autor *Contes et récits de morale familière* oraz *Histoire d'un âne et de deux jeunes filles*, dwóch dziełek które akademii francuska świeżo uwieńczyła. Na tegoroczną gwiazdkę Stahl wydał *Les patins d'argent*, historię pewnej rodziny hollenderskiej. Autorem pierwotnego tekstu jest pani Mapes Dodge, Amerykanka. Stahl przerobił tę książkę z angielskiego i zastosował ją do użytku młodzieży francuskiej. *Les patins d'argent*, illustrowane przez Schuler'a, który także jest Alzatezykiem, mają niepospolitą wartość artystyczną. Schuler słynie jako zdolny kompozytor i rysownik. Znane jest jego album *Schlitteurs des Vosges*; on także dostarcza ilustracyj do dzieł dwóch sympatycznych pisarzy Erekmana i Chatriana.

Stahl jest twórcą tak zwanej *Bibliothèque de Mademoiselle Lili* oraz *Albums en couleurs*, które są prawdziwym arcydziełem typograficznym. *Biblioteka Lili* i *Albumy kolorowane* są przeznaczone dla dzieci, poczynających czytać. Księgarnia Hetzel'a ma osobnego rysownika do tych publikacji. Jest nim Froelich, któremu dotąd nikt pono nie wyrównał. Z tegorocznych albumów ważniejsze: *Le Rosier du petit frère*; *La Bride sur le cou*; *l'A perdu de mademoiselle Babet*; nareszcie *La grammaire de mademoiselle Lili* przez Macégo. Tu dodać jeszcze należy album: *Les métamorphoses de Pierre le Cruel*, illustrowane przez Griset'a, które przedstawia cudowny świat mrówek. To album z przyjemnością rozpatrują nie tylko dzieci, ale i starsze osoby.

Nie brak Francuzom albumów i książeczek dla dzieci, ale nie mogą się pochwalić zabawkami dziecinnymi, które w wychowaniu młodego pokolenia mają także wielkie znaczenie. Są wprawdzie w Paryżu fabryki i sklepy zabawek dziecinnych, ale nikt jeszcze nie pomyślał nadać tym zabawkom cechę estetyczno-naukową. Pomiędzy zabawkami dla dziewcząt znajdujemy wystrojone lalki, a dla chłopców pudełka z cynowymi żołnierzami. Nic nie mam przeciwko lalkom i cynowym żołnierzom, lecz należałoby przytem dostarczyć co pożywniejszego dla umysłu dziecka. Zabawki powinny być tego rodzaju, jak albumy dziecenne, wydawane przez księgarnię Hetzel'a.

Dosyć szeroko rozwiódłem się o książkach dla dzieci i młodocianego wieku przeznaczonych; bo tę publikację zaliczają dzisiaj we Francji do najważniejszych. I w innych krajach dają szczególniejszą bacność na ten dział księgarski. Co do mnie pragnę szczerze aby w Warszawie znalazł się podobny księgarz i nakładca jak Hetzel. Ale podobno wiele czasu jeszcze upłynie zanim Warszawa, pod względem wydawnictwa książek dla dzieci i młodzieży, da się stosunkowo porównać z Paryżem. U nas literatura tego rodzaju nie ma jeszcze wstępu do chat wiejskich, kiedy we Francji, gdzie nie ma prawie różnicy stanów, książeczki przez Hetzel'a wydawane znajdują się u chłopów, u rzemieślników i na salonach książęcych. Co mówię? książeczki i albumy francuzkie dla młodego pokolenia wydane, bardzo często bywają napotykanego salonach polskich. Słyszałem tu narzekanie na „Opiekuna Domowego“, że nie spełnił swej obietnicy względem książeczek pedagogicznych<sup>1)</sup>. Jakże miał spełnić w obec powszechności, obojętnej na podobne przedsięwzięcia i przekładającej rzeczy obce nad swojskie?..

Współzawodnikiem Hetzel'a na polu wydawnictwa książek dla młodocianego wieku, jest dom Hachette'a, na obszerne rozmiary prowadzony. Hachette wydaje *Journal de la Jeunesse*, dziennik ilustrowany; którego głównymi współpracownikami są: J. Girardin, panna Fleuriot, pani Colomb i pani de Witt, z domu Guizotówna. Obok powieści *Journal de la Jeunesse* помещa artykuły z nauk ścisłych, z historii naturalnej, z geografii, z handlu i przemysłu takich uczonych, jak de la Blachère, Rendu, Amadeusz Guillemin. *Journal de la Jeunesse*, ma licznych czytelników pomiędzy szkolną młodzieżą i u rodzin francuskich.

Na tegoroczną gwiazdkę dom Hachette'a przygotował kilka opisów z podróży i dzieł z geografii, pomiędzy którymi pierwsze miejsce zajmuje *Nouvelle géographie universelle* Elizeusza Reclus'a. To ważne dzieło wychodziło zeszytami, lecz wydawca pospieszył i ogłosił tom pierwszy na kolendę. Ten tom opisuje trzy wielkie półwyspy południowej Europy: bałkański, apeniński i pyrenejski. Grecya, Włochy i Hiszpania kolejno się czytelnikowi przedstawiają w rozwoju cywilizacyjnym. Osobliwsze zajęcie z powodu kwestyi wschodniej budzi półwysep bałkański, przy opisie

którego, autor szeroko się rozwodzi nad ludami słowiańskimi, na tymże półwyspie osiadłymi.

Mało mamy pomiędzy Francuzami uczonych, którzyby się zajmowali Słowiańszczyzną. Katedra literatur słowiańskich przy Kolegium Francuskim jest nędznie obsadzona. Professor Aleksander Chodźko pomimo swej uczoności, nie ma daru wymowy, nie umie ściągnąć licznych słuchaczy na swoje wykłady. Co innego bywało za owych czasów, kiedy tę katedrę obejmował Mickiewicz! Paryżanie tłumnie się cisnęli na jego wykłady; nie było dla publiczności dosyć miejsca w obszernej sali. Dzisiaj na suchych wykładach Chodźki zaledwo bywa dwóch lub trzech słuchaczy, którzy są pewni, że professor po lekcji zafunduje im śniadanko...

Ale co mamy narzekać na Francuzów, kiedy w krajach słowiańskich spotykamy tę samą obojętność dla Słowiańszczyzny. Jeszcze dotąd ani jedno ważniejsze miasto słowiańskie nie może się poszczycić katedrą języków i literatur słowiańskich. Przed dwoma czy też trzema laty jakiś filolog zaproponował w Warszawie wydawnictwo biblioteki słowiańskiej, nie znalazł się nakładca na tę ważną publikację. Na *Rogon-Maquartów* i na inne tym podobne śmiecie znajdują się u nas i nakładcy i czytelnicy, ale nie ma ni nakładców ni czytelników na rzeczy słowiańskie, żywo obchodzące Polaków...

Potrąciwszy o Słowiańszczyznę, winienem nadmienić o nowej książce, która wyszła w Paryżu pod napisem: *L'Herzégovine*. Autor, Gaston Thomson pokrótce opowiada dzieje Słowian, pod panowaniem Turcyi zostających. Do książki dołączona mappa która pozwala śledzić postępy powstania heregowińskiego.

Ale wracam jeszcze do Hachette'a. W dziale publikacji tej księgarni, poświęconych geografii i podróżom, na szczególniejszą uwagę zasługuje *Tour du monde*, pismo peryodyczne, które wychodzi od lat czterdziestu.

Podróżowo-geograficzny przegląd *Tour du Monde*, przypomina mi sztukę tegoż nazwania, którą przeszło od roku grywają tu w teatrze „Porte Saint-Martin.“ Przejdźmy po równiku, po równoleżnikach, i po wszystkich południkach naszą biedną kulę ziemską, a nie znajdziemy ni kraju ni miasta, gdzieby inna sztuka doznała takiego powodzenia. Juliusz Verne, którego powieści treść i obłoczek tej sztuki, zrobił już fortunę i może bezpiecznie spoczywać na wawrzynach. „Podróż w około świata w 80 dniach“ odbywając podróż po Francji i Europie dostała się aż do Lwowa, jak się o tem można przekonać z dzienników lwowskich. Afisze lwowskie, które mam pod ręką, ogłosiły, że nie ma „wolnych biletów“ na tę sztukę. Przyznam się, że te zastrzeżenie pocieszyło mnie. Dyrekcya teatru lwowskiego znać z góry przewidywała, że „Podróż w około świata w 80 dniach“ nie ściągnie licznej publiczności. Tu w Paryżu każdy dziennikarz, każdy pisarz i reporter, otrzymuje darmo bilety na wszelkiego rodzaju widowiska. Bo właśnie od dziennikarzy, literatów, artystów i reporterów zależy mniej więcej powodzenie przedstawień teatralnych lub innych widowisk. Przeczytawszy wspomniony wyżej a-

fisz, rzekłem sobie: Za żadne w świecie pieniądze, ja sprawozdawca teatrów, nie udam się na mieszkanie do Lwowa, chyba że otrzymam zapewnienie, iż któraś tam Rusinka serdecznie mię ucałuje przy złożeniu jej podarunków na gwiazdkę...

Niesłychane powodzenie, jakiego obecnie doznają w Paryżu dwie sztuki: *Le tour du monde* i *Le voyage dans la lune*, daje wiele do myślenia dyrektorom teatrów i tym artystom, którzy scenę uważają za źródło dochodów. Na nie się nie przydało rozpisywać konkursu na dzieła dramatyczne, kiedy utwór przez światłych sędziów uznany za najlepszy nie przyniesie autorowi ani tysięcznej części, co dają utwory pozbawione zalet scenicznych. Dzisiejsza publiczność francuska nie uczęszcza do teatru po morały, nie szuka tam pokarmu dla umysłu i serca. Francuzi dziewiętnastego wieku pragną rozrywki, chcą [przedewszystkiem] nasyć wzrok i słuch. Najpiękniejszymi są widoki i zjawiska przyrody; właśnie w dwóch upodobanych przez paryską publiczność sztukach głównie przemaga przyroda, umiejętność. Odtańd na scenie ukaże się umiejętność, przyroda w całym blasku potęgi i piękna.

Długo, bardzo długo rozprawiano o teatrze jako o środku do umoralnienia człowieka. Teorya ta powstała pod wpływem nieprzyjaźni, którą kościół okazywał dla aktorów i widowisk teatralnych. Wiadomo, że duchowieństwo francuskie odmówiło pogrzebu nieśmiertelnemu Molielowi, za jego arcydzieła dramatyczne. Kwestyę moralności teatru żywo rozbiegano przed rokiem w Paryżu. Zamierzano założyć teatr pod nazwaniem „Teatru moralności“, sądząc, że nie teatr jest dla społeczeństwa, lecz społeczeństwo dla teatru. Głównym przywódcą teatru moralnego był Paweł Féval, zaszczytnie znany pisarz. Dzisiaj rano, dnia 19 grudnia, ten sam Féval miał w teatrze „Porte Saint-Martin“ odczyt w tymże przedmiocie. Rzecz godna uwagi, że już nie mówił o „teatrze moralnym“, ale o teatrze dla wszystkich, *théâtre pour tous*. Féval postawił za wzór do teatru dla wszystkich takie sztuki, jak *Le tour du monde* i *Le voyage dans la lune*.

Dzisiejsze społeczeństwo podciąga wszystko pod umiejętność; stąd też moralność bywa dla niego rzeczą nader względną. Nie dawno temu dewoci i dewotki paryskie gorszyły się, widząc, jak tłumy narodu odprowadzały na wieczny spoczynek ciało Wirginii Déjazet, sławnej aktorki. Wirginia Déjazet była panną, miała kilkoro dzieci, i — jak to powiadają, za młodu prowadziła się płocho; stąd gniew, uraza dewotek do nieśmiertelnej artystki i do tych którzy jej oddali ostatnią posługę...

Zaiste, Paryż nie widział liczniejszego orszaku pogrzebowego, nad ten, który zwłoki Wirginii Déjazet, — z „jawnogrzesznej Magdaleny“ odprowadził na cmentarz Pere-Lachaise.

Taka to moralność ludu paryskiego!.. Nie gorsza od moralności innych ludów i od moralności akademików francuskich. Pewien biskup, członek Instytutu uważał wybór Littrégo na akademika, za czyn nader niemoralny i z tego powodu chciał usunąć się z akademii. Dzisiaj ten sam dostojny prałat wpraszał się do senatu, do którego zostali wybrani Littré i Juliusz Simon. Książd biskup obrany senato-

<sup>1)</sup> Wydawnictwo to zawieszono głównie z powodu braku poparcia, w roku bieżącym dalej prowadzonym będzie (P. R.).

rem już nie powstaje na bezbożnika Littrégo i na Simona, którego wyklinał dawniej za jego pisma, mianowicie za książkę o *Religii przyrodzonej*.

Temi dniami odbywał się wybór dwóch członków do akademii francuskiej, na opróżnione krzesła po Guizocie i Remusacie. Książ biskup nie wziął udziału w tym wyborze, ale za to przed rokiem głosował na Aleksandra Dumasa, który nie wart rozwiązać rzemyczka u trzewików Littrégo i Simona.

Taka to moralność biskupa francuskiego, pasterza ludu!...

Juliusz Simon wybrany do akademii na miejsce zacnego Karola Rémusat'a. Krzesło po Guizocie obejmie chemik Dumas, dożywni sekretarz akademii umiejętności. Simon pochodzi z biednej rodziny. W młodym wieku został sierotą. Początkowo pobierał nauki w Lorient, a później w kollegium Vannes, gdzie się utrzymywał z korepetycyj. Skończywszy szkołę normalną w Paryżu, otrzymał stopień „*aggrégé de philosophie*“ i został profesorem w Caen, skąd przeniesiony do Wersalu tłumaczył z greckiego dialogi Platona dla Wiktora Cousin'a. Niebawem otrzymał posadę korepetytora przy Szkole normalnej. Z tej epoki uczniami Simona są: Caro, Méziers, Taine, About, Sarcey, wszyscy dzisiaj znani jako uczeni i publicyści. W literaturze francuskiej Simon zajmuje niepoślednie miejsce jako ekonomista, filozof i polityk. Dzieła jego: *Devoir, Religion naturelle, Travail, Ouvrière, Ecole, Peine de mort*, zawsze będą czytane z pożytkiem. Piastując ministerstwo oświaty publicznej, Simon nie mógł oddać krajowi znacznych usług; bo miał do czynienia z potężną reakcją, która, jak wszędzie tak i we Francji zasada na ciemnocie swe panowanie.

Lwów dnia 30 grudnia 1875 r.

Banki puste, kieszenie jak wymiół, akcyje przerozmaite bez waloru, spichrze włościąskie puste, serca puste, uśmiechy przytem puste, głowy pus... przepraszam pełne projektów, część młodzieży żyje, jak powiada nieśmiertelny Fredro, „jakby nieśmiertelna,“ dowcipy choć bez sensu i wcale niedowcipne kują na zawołanie wyższe i niższe sfery, temi pseudo dowcipami ubija się nieraz najszlachetniejsze przedsięwzięcia, a temu wszystkiemu wtóruje albo może naodwrot, w tem wszystkim prym trzyma zwierciadło szkoły życia: teatr. Berło ujęli Offenbach i Lecoq i za to choć gdzieindziej pusto, w teatrze pełno....

Nie myślę na temat o sztukach niemoralnych prawieć morałów, ani bronić komu uśmiechu i chwili rozrywki wśród czarnych godzin ciężkiego życia, ale... Ale właśnie dla tego, że życie ciężkie, że obowiązki o wiele tu liczniejsze niż u społeczeństw postawionych w warunkach szczęśliwszych, dla tego, każdy przyzna, uśmiechy, wesołość, zabawa, rozrywki nie powinny wpływać ze źródła obrazów rozpusty, sprośności i braku wszelkiej przyzwoitości. Dyrekcya teatru lwowskiego ma na to swoje *ale*, jedną ciągle pionkę: „farsa popłaca, na dramacie pustki.“ Pominąwszy wiele a wiele względów dla któ-

rychby tę zasadę potępić należało, podnieśmy tylko jeden zarzut. Dyrekcya lwowska nie żałuje pieniędzy gdy idzie o świetne wystawienie farsy, sypnie nieraz i tysiącami guldenów; postara o dekoracje, garderobę świeżą, przygotowuje prób setkami do reprezentacji i jużci tak ozłocona farsa, tak w złoty szych obszyte głupstwo, muszlinem tylko przykryta nagość która ma także swoich zwolenników, ciągnie młodzież, ciągnie starców, publiczność całą nareszcie, bo „czyż to grzech, czy zbrodnia pośmiać się, zapomnieć na chwilę o troskach!“

Tak z farsą, inaczej zupełnie z dramatem i z każdą sztuką poważniejszą. Dyrekcya lwowska nie stara się nigdy, ażeby dramat przedstawiony był odpowiednio, nie wyda ani szeląga na lepsze dla dramatu dekoracje, a choćby to byli bohaterowie szekspirowscy, wychodzą przed publiczność w łatanych płaszczach, dziurawych czapkach i spłowiałem odzieniu. Dla dramatu zresztą dość jednej próby, ponieważ publiczność się nudzi i zresztą nie przybędzie tłumnie. Takie poszanowanie dla utworów geniuszu, takie lekceważenie publiczności, takie niedbalstwo w przedstawieniach, to odstręcza, to zraża ogół, a wcale go nie pociąga, tembardziej gdy panuje przekonanie, że trzebaby dopiero ogół ten zachęcić, rozmiłować w utworach poważnych. To pewna, że gdyby dyrekcya teatru choć raz postąpiła tak po ojcowsku z dramatem, jak z farsą, publiczność znalazłaby myśl, zabawę i spędzenie kilku godzin i na słuchaniu utworu poważnego. Gdyby choć raz wyposażono jaki dramat tak hojnie, jak niedawno wprowadzoną na scenę lwowską farsę *Girofle i Girofla*, i gdyby ogłoszono jak wówczas, że nową garderobę sprowadzono aż z zagranicy, że dekoracje choć ulepszone, to teatr zapełniłby się, i nie raz, ale i drugi i trzeci. Siły artystyczne są po temu, choć młode. Ale cóż, dziś artyści bohaterowie ubierać się muszą w suknie szachowane i czapki z dzwonekami...

Zaraźliwa to owa miłość do sukni szachowanej; a dowodem tego ci, którzy reprezentują społeczeństwo galicyjsko-austriackie ot np. w sejmie, w Wiedniu wreichsraciei na wielu innych punktach, choćby znowu takich, jak krzesła w radzie miejskiej, krzesła w akademii umiejętności, notabene krakowskiej, albo choćby i fotele literackie (o krzesłach literackich nie mówię, bo zasiadający je, to najczęściej dopiero „kawał literatów“ a ci mają czasem i kawał serca, i kawał uczciwości i trochę rozumu starego bez kawałka chleba). Otóż wyobraźmy sobie fotel literacki z osobą literacką, z powagą wielką, notabene dla pewnej fakcyi nie dla całego społeczeństwa. Z takiego fotelu wyrzuca się na świat pamflet na pewne rzeczy święte, dla tego że... ten fotel wygodny, dla tego, że choćby diabli brali całe społeczeństwo, byle fotel i fakcya nie poszły na lewicę na dolinie nie Józefata, ale na dolinie tytułów, godności et cetera. Z takiego fotelu potępia się porywczosć, ale oplwa się oraz i biedne, nikomu nie wadzące stare obyczaje, stare serca z młodzieńczym polotem... słowem tacy fotele-literaci zapomnieli o satyrze a umieją obrzucać błotem tylko, i to wszystko pod pozorem dobra społeczeństwa, dla

dobrobytu własnego i dla interesu sobkowskiego fakcyj, których nie policzyć. W obec takich opiekunów małoletniego społeczeństwa, opiekunów możnych pieniędzmi i niby znaczeniem, cóż ma począć postęp, co usiłowania jednostek skrepowanych pracą na chleb powszedni, co owa porywczosć młodzieńcza serce o krwi dawnej, którym zamiast słów miłości, rzucają słowa pełne cynizmu, urągają śmiechem i groźbą: jam silny, bo w imieniu silnego przemawiam, dla tego będziesz musiał zmilczeć, choćbyś język pokasał z oburzenia...

Jak gdyby po deszczu wyrosli nagle ci panowie i wszystko im nie w smak i nie w ład: postęp herezyją; miłość głupstwem; rozum własny zbrodnią; stowarzyszenia jak rzemieślnicze i pracy kobiet, szkołą buty; pamięć i uczczenie zasłużonych dla społeczeństwa ludzi, burdą i zajatrzeniem krwi gorącej i t. d. it. p. Gotowi natomiast popierać wszelkie kierunki umysłowe, wywołujące uśmiech choćby bezmyślny, gotowi polemizować, że kankan wyuzdany, to nie złego, to owszem kształci zmysł estetyczny. O! ten zmysł estetyczny, dał się we znaki Galicyi. Zrobił tyle, że dziś wielu roszczących pretensye do wywierania wpływu na ogół, ani pojmuje tego że ogół, powszechność z rozmaitych żywiołów złożona, prędzej pojmuje rzecz, przemawiającą do serca, uczucia, wyobraźni, niż rzecz ni by dowcipną a w istocie pozostawiającą po sobie tylko czechość po śmiechu, który trwał sekundę. Nie mówię tu o artykułach ściśle rozumowanych dzienników lwowskich, ale o tych, które to mają niby zadanie pouczyć i rozerwać. Otóż takie, czy mogą skutek wyrzucić, gdy czytelnik widzi, że autor drwi nie tylko z dobrej jego wiary i z niego samego i z siebie? słowem, co tkniesz, to jakaś poza na Heinego.

Przeprószyć muszę szanownych czytelników za powyższy zbyt może długi ustęp o sprawach parnasu dziennikarskiego i dygnitarskiego w zjednoczonych królestwach Galicyi i Lodomerji, jednakowoż, dla uwydatnienia ścierających się prądów umysłowych, musiałem go podać, a dodać muszę, nie wyczerpawszy nawet zupełnie przedmiotu. I niepodobna nawet przejść na inne sprawy nie dodawszy, że Bogu dzięki innym jest ogół szafarzów opinii publicznej. Ale, że złe zwykle najgłośniej krzyczy i najrezolutniej dowodzi, dla tego naprzód rzuca się w oczy. Z drugiej bowiem strony, gdyby nie przerzucanie się dziennikarstwa galicyjskiego z jednego w drugi kierunek, to tacy dla własnego interesu „sobki“ społeczeństwa, nie znaleźliby z pewnością otwartych zawsze łam dzienników. Nie mogliby, jak się dzieje obecnie, dla podniesienia jednej sprawy, obrzucać innej choć godziwej błotem, aby ich własna wydała się okazalszą.

Przejdźmy jednak nad niemi, mówiąc językiem ducha czasu, do porządku dziennego. Gorliwi o rozjaśnienie umysłów, uszlachetnienie serce, postarali się i na bieżący sezon zimowy 187<sup>5</sup>/<sub>6</sub> o odczyty naukowo-popularne. Inicyatywa wyszła jak co roku od towarzystwa pedagogicznego, a chętną pracę w wykładach ofiarowali i ludzie z po za grona pedagogów. Odczyty potrwały aż do połowy kwietnia roku przyszłego. Inny rodzaj od-

czytów, więcej ścisłych, gdyż zastosowanych do rozmaitych zawodów rękodzielniczych, rozpoczął się równocześnie w *muzeum przemysłowym*. Przedmioty przez zarząd muzeum obrane są: O barwach; o fotografii i zastosowaniu gazometru w drobnym przemyśle; o kamieniach szlachetnych; o powietrzu; o kredycie rękodzielniczym; o kapitale i pracy; o galwanoplastyce; o drzewie; o muzeach przemysłowych; o tłuszczach i mydle; o urządzeniu pomieszczeń; o wpływie architektury na przemysł; o żelazie i stali. Tembardziej zaś zasługują te prace na uznanie, że wstęp na odczyty w muzeum przemysłowym dla uczącej się młodzieży i rękodzielniczej wolny, a za biletami za opłatą zarezerwowano tylko 60 miejsc.

Z końcem roku jak co roku pojawiły się przeróżne „Rzuty oka“ na sprawy ekonomiczne, społeczne, artystyczne, polityczne; same śliczne, pięknie napisane w przeróżnych tutejszych dziennikach i krakowskich, ba, i stansławowskich nawet, bo i ta niegdyś rezydencya słynnej pani kasztelanowej Kossakowskiej ma także dwa dzienniki. We wszystkich tych rzutach finale prawie jednobrzmiące: bieda, nieurodzaj, w skutek tego głód, brak kredytu, z wiosną u ludu wiejskiego okropny przednówek, bo brak paszy. To też w istocie we Lwowie obecnie sążeń drzewa opałowego 20 guldenów, za które znowuż możnaby nabyć 20 koni po guldenie, mówię wyraźnie: koń po guldenie, i to nie żarty, nie farsa, ale rzeczywistość przerażająca. Włościanin nie mając czem przeżywić inwentarza, zbywają na skórę a w takiej ilości, że jeszcze za konia podkutego można wziąć 1 guldena i 50 centów, ale koń bez podków bywa sprzedawany i po 80 centów. Znowu nastroczałaby się sposobność zażegnania goryczy socyalnej pomiędzy klasami wyższemi a niższemi, ale czy te zwane wyższemi, podniosą się do istotnej wysokości? Pytanie. Łatwoby je rozwiązać, gdyby dobra wola, gdyby w ogóle wola jakaś, ale o tę trudno. A jednak gdyby się poczuło do enoty, nie trzebaby potem kiedyś a i dziś rozcinać podobnych pytań, ale nie szczodra nawet, tylko przychylną ręką rozwiązywać, naturalnie przy pomocy odrobiny pracy.

Tu przypominam sobie początek jakiejś piosnki czeskiej, którą wyśpiewuje i teraz wśród zimy we Lwowie, biedactwo z Czech przybyłe, małe dziewczątka z harfami ziebnąc na mrozie i zębami dzwoniąc: piosnka zaczyna się:

Cóż po sklenice kdy w niej piwo neni,  
Cóż po milence — i. t. d.

Otóż podobnie i z naszymi klasami wyższemi, z obywatelstwem; co po wyższości, gdy w nich enót wyższych braknie, czyli *neni*, jak śpiewają harfiarki, a jak je tu zwie ulica *arfinistki*.

Przybyły do rzędu księgarń lwowskich, dwie nowe, świeże, jedna p. W. Zawadzkiego już otworzona, druga otwierająca się z dniem drugim nowego roku. Czy byłby to prognostyk, że publiczność galicyjska zacznie więcej czytać? Bądź co bądź życzymy im powodzenia, ruchu i życia. Inne tymczasem handle, jak korzenne i bławatne zapowiadają głośno, że jeżeli tak dalej pójdzie i tak mały będzie

obrót i odbył, to, grożą, iż zbankrutują z kre-  
tesem. d. n.

## CHOROBY MISTYKÓW.

Dzieło p. Charbonnier'a, pod powyższym tytułem niedawno wydane w Brukselli, wywołało głębokie wrażenie w świecie uczonym. Pisma naukowe w Niemczech, Francji i Anglii, poświęciły jego ocenie całe szpalty, a belgijska akademja medyczna postanowiła je wydrukować w swych *Pamiętnikach*. Skądże ten ruch, to zajęcie się tak żywe pracą pana Charbonnier'a? Z bardzo prostej przyczyny — uczony ten lekarz zarazem, na podstawie licznych doświadczeń wyjaśnia przyczynę hallucynacji, wizyj i t. p. objawów mistycznych, a tem samem analizuje zjawiska, które dotąd pomijała prawie zupełnem milczeniem nauka. Wszysey starożytni pisarze katolicy, jako to: święty Jan, ś-ty Bonawentura, ś-ta Teresa, Görres, Brentano, którzy zajmowali się opisem życia mistyków, nie pomijali ani jednego szczegółu dotyczącego sposobu ich życia i chorób. Fiziologia i patologia były im nieznanne, przypisywali zatem siłom nadprzyrodzonym, surowy i wstrzemięźliwy sposób ich życia, umartwienia ciała i wszelkie zjawiska stąd wypływające.

„Nie ma wątpliwości, powiada Görres, że wszyscy święci ulegali chorobom, te przecież odróżniały się całkiem od wszelkich innych znanych i rozdziły objawy nadprzyrodzone.“

W innem miejscu Görres w ten sposób się odzywa: „Człowiek usiłujący zostać świętym, zawsze to przypłaca chorobą, często zaś śmiercią pozyskuje łaskę jaką go Bóg obdarza. Nakoniec w obrazowaniu życia wszystkich mistyków znajdujemy ten frazes: *Bóg nawiedzał ich chorobami*.“

Wszysey ci pisarze wypowiadali się szczerze, z naiwnością odpowiednią ich niewiedomości, sam nawet Görres nie spostrzegając się popełnia sprzeczności, mówi bowiem, że mistyce prowadzili tryb życia prawidłowy i przysposabiali się do pozyskania świątobliwości *postami i umartwieniami ciała*. Z drugiej strony lekarze katolicy tacy jak Imbert, Gourbeyre, Clermont-Ferrand i Lefevre profesor uniwersytetu katolickiego w Louvain, nie wahają się utrzymywać, że zjawiska nadprzyrodzone występują u mistyków *przy najzdrowszym stanie ich organizmu*.

Przeciw tym niedołącznym teoryom żywo występuje Charbonnier, a opierając się na licznych faktach dowodzi, że nie ma ani jednego mistyka, któryby nie wiódł życia wstrzemięźliwego, któryby nie osłabiał postami ciała.

„*Wstrzemięźliwość*, powiada Charbonnier, jest węgielnym kamieniem mistycyzmu. Przekonany o tem najmocniej, studyowałem z największą ścisłością to wszystko co się doń odnosiło, biorąc pod uwagę klimat i szerokość geograficzną pod jaką żyli mistyce, sposób ich życia, przywyknienie do wstrzemięźliwości i choroby stąd się wyradzające.“

„Wreszcie znając prawa fizjologii i warun-

ki, które wpływają na osłabienie ciała, zaburzenia i zmiany organiczne wynikające w skutek wstrzemięźliwości, z tego punktu śledziłem życie mistyków.“ Charbonnier zaznacza pewne węzły zachodzące między wstrzemięźliwością a klimatem, i dowodzi, że po za granicą linii jaką nazywa *Izotermomistyczną*, nie ma ani wstrzemięźliwości, ani mistycyzmu.

Surowa reguła życia doprowadzona do ostatecznych granic przez Franciszka z Assizu, mogła tylko praktykować się w kraju posiadającym klimat gorący, który pozwalał mało zużywać węgla i osłabiał funkcyę żywienia się.

I tak we Francji, Włoszech, a zwłaszcza Hiszpanii, i krajach położonych nad morzem Śródziemnem, franciszkanie posiadali liczne klasztory, prawie nieznanne w północnej Europie, gdzie znowu potworzyły się zakony rycerskie. Przyczyna tego prosta. W sferach zimnych człowiek potrzebuje mięsa — anachoreta nie mógłby utrzymać życia zachowując post ścisły. Owoż nie Bóg, lecz klimat tworzy wstrzemięźliwych i mistyków.

Charbonnier badał z równą ścisłością wstrzemięźliwość Indyan, jak i mnichów na Wschodzie, utrzymuje on, że niezależnie od woli ascetyków, ciało ich żywi się, jakkolwiek następuje to całkiem inną drogą. W tej mierze autor opiera się na tak zwanem prawie *zastępstwa organicznego* i okazuje na podstawie doświadczeń, że *skóra i płuca zastępują organy trawienia, gdy te słabo funkcjonują*, że wreszcie stan krwi reguluje funkcyę pochłonywania tych *blon przesiąklivych*.

Charbonnier wysnuwa niemniej ten wniosek z pięknych doświadczeń Regnault'a i Reiset'a, dotyczących oddychania płucnego, oraz z teoryi pochłonywania.

Rozpatrzmy się bliżej w teoryi Charbonnier'a. Krew jest dostarczycielką tkanek. Ta wielka rzeka krążąca w organizmie przynosi tkankom to wszystko czego potrzebują, a w zamian zabiera materiały zużyte, które przerabia aby znowu do użycia służyć mogły. Krew jest zatem działaczem wytwarzającym tkanki, i reprezentującym dokładnie, ich stan w danej chwili. Gdy mówimy, że krew jest uboga, zmieniona w skutek niedostatecznegożywienia lub wyłącznie złożonego z roślin, to znaczy, że tkanki uległy tymże samym zmianom. Charbonnier studyował jak najstaranniej wszelkie modyfikacje histologiczne, i zwraca uwagę uczonych na proces który nazywa *azotacją*. Organizm mistyka, według niego, jest mniej lub więcej *zazotowany i odwęglony* a zjawiska nerwowe, jakoto: ekstaza, hallucynacje, wizye, są mniej lub więcej natężonym stopniem azotacji.

Wiadomo każdemu, że długo zachowywane posty, i w ogóle sposób życia wywołujący osłabienie ciała, wpływa na wytwór rzekomych zjawisk nadprzyrodzonych. Przede wszystkim jednak *pierwszy skutek takiego trybu życia, przejawia się na tkankach*, które ulegają zmianom znaczącym. Zjawiska tego rodzaju mają miejsce najwidoczniej w alkoholizmie, w którym azot w *tkankach*, zastąpionym zostaje węglem i wodorem. Tkanki nerwów i mięśni, a w szczególności wątroby i śledziony, nasycają się węglem kosztem azotu, i po

upływie pewnego czasu symptomata nerwowe i inne przejawiają się jako następstwo *normalne* tego nowego stanu rzeczy.

Pod wpływem ścisłych postów następuje wzięwanie azotu atmosferycznego, a wzięwanie kwasu węglanego odbywa się kosztem węgla pozostającego w tkankach.

Charbonnier z tych danych wysnuwa wiele doniosłe wnioski, opierając się na badaniach w tymże samym przedmiocie Regnault'a, Reiset'a i Chossat'a, oraz wielu innych fizyologów. W takich warunkach życia, w jakich znajdują się anachoreci, azot znajduje się w arteryach jako pokarm, i może łączyć się z tkanką którą porzucił węgiel. Przypuśćmy teraz że taki proces zachodzi w organizmie przez dwadzieścia lub trzydzieści lat, widocznie nastąpi azotacja ciała u mistyków, podobną drogą jak zwęglanie się tegoż u niektórych opilców. Symptomaty zatem poczytywane dotąd za anormalne, są w rzeczywistości *normalnymi* w nowym stanie tkanki ludzkiej.

Zwęglanie się tkanek u opilców, następuje dopiero po upływie bardzo długiego czasu, i wyradza choroby powtarzające się peryodycznie. Przejawia się toż samo u mistyków i zakonników surowej reguły, pędzących życie w klasztorach, którzy również ulegają chorobom peryodycznym, miewają wizje, i często kończą przedwcześnie życie z wycieńczenia. Węgiel zawarty w ciele schorzałem, ulega temuż samemu procesowi, co u zwierząt podpadających snowi zimowemu, lub głodzonych. Oddychanie ich jest słabsze, również jak krążenie krwi, podobnie jak u mistyków u których pulsa biją bardzo powolnie. Zwierzęta kryją się w takim razie w podziemia, pustelnicy i inni mistycy grot poszukują. Czy to śledzić będziemy życie zwierząt ujętych snem zimowym, czy życie anachoretów, zawsze znajdziemy jednakowe zjawiska jako to: powstrzymanie wydzielania potu, moczu, wypróżnień, pomniejszenie ilości wzięwanego kwasu węglanego, wychudnienie ciała i t. p. zjawiska. Takim jest stan histologiczny uspasabiający do wytworu ekstazy.

Nie ma ani jednego fizyologa, ani jednego lekarza, któryby zaprzeczał, że w takim stanie następuje upowolnienie i zawieszenie funkcji *roślinnych*. Esquirol w ten sposób się wyraża: po spazmach epigastycznych (nadpępkowych) u człowieka oddającego się rozmyślaniom, następuje ubezwładnienie układu trawiącego, wydzielania nie odbywają się prawidłowo, nie zachodzi potnienie i t. d. Zresztą małe straty w węglu ponoszone przez tkankę mistyków, mogą być wynagradzane wzięwaniem azotu atmosferycznego. W skutek zawieszenia pewnych funkcji organicznych, następuje według Charbonniera i ten rezultat, że po śmierci mistyków ciała ich nie ulegają prawie zepsuciu. Ogrzewanie się ciała mówi autor należy u mistyków od węgla zawartego w tkankach i powołuje się na doświadczenia Klauudyusza Bernarda, dotyczące wielkiego nerwu sympatycznego, którego jedną z funkcji jest zatrzymywanie ciepła w tkankach, a to za pomocą nerwów naczynno-zwierzęcych.

Dalej autor opiera się na Gavarret'cie, który okazał, że dziewczę przechodząc w dziewczę

a tem samem doznając przeważnego wpływu wielkiego nerwu sympatycznego, zużywa mniej węgla, a pomimo to jest wytrzymalszem na zimno od człowieka dojrzałego.

Autor przytacza spostrzeżenia Longeta udowadniające, że południowiec opiera się dzielniej wpływowi zimna niż człowiek żyjący na północy, chociaż ten ostatni daleko więcej spożywa węgla. Wszystko to okazuje, że anachoreci bardzo mało tracą ciepła.

U opilców, powiada Charbonnier, zachodzi spalanie się całkowite ciała, są oni jakby zwęgleni. U mistyków utracony węgiel zostaje zastąpiony azotem, wytwarzającym jedynie, ciepłik utajony. Jeżeli azotacja jest dość silna, występują zjawiska całkiem przeciwnie jak u opilców, ciało staje się prawie niezapalnym.—W ten sposób autor wyjaśnia podania o świętych, którzy bezkarnie mogli przechodzić przez płomienie. Wreszcie autor dotyka sprawy Ludwika Lateau, której wizje i halucynacje tak wielki miały rozgłos w Paryżu w roku ubiegłym. Wszelkie te zjawiska przypisuje on stanowi chorobliwemu jej organizmu, a zwłaszcza zubożeniu krwi—przytacza oraz niektóre szczegóły z jej życiorysu podane przez Lefevre'a i Rohlinga.

„Od najmłodszych lat dzieciństwa, powiada ten ostatni, Lateau wiodła życie jak najskromniejsze. Nieco kawy lub mleka, kilka łyżek lichej zupy, kromka chleba, owoc lub trochę jarzyny, stanowiły całodzienne jej pożywienie. Takim było życie tej dziewczyny, zanim zaczęła miewać cudowne wizje.“

Widzimy stąd, że nigdy nie żywiła się mięsem, nie pijała piwa ani wina. Wiadomo zresztą, że Ludwika Lateau całe życie ulegała chorobom, często niebezpiecznym. Poglądy Charbonnier'a sprawdzają się przedziwnie na tej dziewczynie, przez długie bowiem lata organizm jej przyspasabiał się drogą diety do wytwarzania wizyj.

Badania autora dla medycyny są niezmiernie ciekawe; jego *azotacja* zajmie miejsce obok alkoholizmu i wskaże lekarzowi gdzie źródła cierpień poszukiwać winien. Nie wdajemy się tu przeciw w szczegóły zajmować mogące specjalistów, gdyż chodziło nam głównie o poznanie ogółu z naturalną przyczyną zjawisk mistycznych, poczytywanych przez długie wieki, a nawet do chwili obecnej w kołach klerykalnych, za nadprzyrodzone.

Wincenty Niewiadomski.

## Jak należy czytać?

### Wskazówki praktyczne,

(podane przez Piotra Chmielowskiego).

Każdemu niemal, kto zna litery i umie kilka wierszy drukowanych wygłosić bez zająknięcia, zdaje się, że potrafi czytać wybornie i bez zarzutu. Jest to złudzenie bardzo często napotykanie u ludzi, którzy wszystko rozpatrują po wierzchu tylko, nie zastanawiając się nad tem, co widzą, słyszą, mówią lub czynią. Tymczasem kto głębiej cokolwiek rozważy choćby szczegóły potocznego życia, ten zaro-

zumiałości takiej z pewnością nie popełni. Nie jeden dopiero po przeczytaniu np. kilkudziesięciu książek przekonał się, że czyta źle, i że mu jeszcze pod tym względem bardzo wiele do udoskonalenia pozostaje.

Można źle czytać tak co do formy jak i co do treści. Co do formy może robić błędy w intonacji, w zmianie głosu, w zachowywaniu akcentu retorycznego i t. d. Co do treści może czytać tak, że nie wiele albo żadnego z pracy swojej nie odnosi pożytku. Każdy widzi, że błędy co do formy nie są tak ważne jak wykroczenia przeciwko treści. Stąd też podając poniższe wskazówki czytania i to *dobrego czytania* dotyczące, pomijamy względ pierwszy a zastanowimy się szczegółowo nad drugim. Sądzimy, że czytelnicy nie poskarżą się na małoważność treści, gdyż jak się łatwo przekonać mogą, kwestya dobrego czytania jest wielką częścią kwestyi *oświaty* w ogóle.

A więc bez dalszych ceregieli przystępujemy do rzeczy.

Książka jestto znajomy albo przyjaciel, który dużo zobaczywszy, wiele zrobiwszy spostrzeżeń i poważnie je rozważywszy, daje nam rady i wskazówki we wszystkich potrzebach i we wszystkich okolicznościach życia. Nie wiem, kto pierwszy zrobił to porównanie, ale każdy przyzna, że mieści się w nim głęboka prawda. Co do mnie przynajmniej, chciałbym koniecznie, ażeby porównanie to zostało na zawsze w pamięci ludzi, którzy się do czytania zabierają; ono bowiem odsunie od nich wiele niewłaściwych wyobrażeń a czytanie w miłą pogadankę zamieni. Nawet charaktery różnych osób odzwierciadlają się w książkach jakby w wodzie krynicznej. Jedna jest wesoła, druga smutna; jedna nas bawi, druga uczy; jedna rozmawia z nami poufale, druga imponuje nam swoją powagą; — zupełnie tak samo jak i ludzie. Taka tylko pomiędzy rozmową a czytaniem książek zachodzi różnica, że pierwsza dla wszystkich prawie jest łatwa, do drugiego potrzeba przyzwyczajenia i wprawy. Ale na czemże polega to przyzwyczajenie i ta wprawa? Nie na czem innem, jak tylko na dobrem zaznajomieniu się z książkami. Chcąc się zaś z nimi zaznajomić, starajmy się postępować tak jak w rozmowie z ludźmi: t. j. usiłujmy je *zrozumieć* i *dobrze spamiętać* to, co nam one powiedzą. Od zrozumienia i spamiętania zależy cała przyjemność naszej rozmowy z książkami i cała korzyść, jaką z niej odnieść możemy. A potrzeba wiedzieć i mocno to sobie wbić w pamięć, że od dokładnego zrozumienia zależy i należyte spamiętanie przeczytanej treści. Kto pojmuje na wylot jakąś rzecz, ten o niej nigdy nie zapomni. Może wprawdzie nie pamiętać niekiedy nazwiska, daty, drobnych okoliczności jakiegoś wypadku; ale treść sama stanie się nazawsze jego umysłową własnością, jeżeli ją tylko ze wszystkich stron obejrzał, zrozumiał jej skład, sposób powstania i wzrostu, aż do tej postaci, w której ją właśnie ogląda.

Otóż wszystkie rady, które tu względem czytania podam, odnosić się będą zarówno do zrozumienia jak i spamiętania czytanej treści; pierwszy bowiem względ jest najważniejszy i warunkuje sobą względ drugi.

Kto uk ończywszy nauki elementarne, albo dokładniej się wyrażając, kto nauczywszy się czytać, chce sam, bez cudzego już przewodnictwa, skorzystać z książki, ten najlepiej postąpi, jeżeli książkę tę czytać będzie na głos; zupełnie tak jakby z kim głośno rozmawiał.

Rada ta opiera się na dwu następujących prawdach:

1-o. Kto czyta głośno, ten czyta powolniej, aniżeli gdyby czytał po cichu; a czytając powolniej ma czas namyśleć się trochę nad każdym słowem, lepiej je pojąć i dokładniej sobie przedstawić związek myśli w przeczytanych słowach.

2-o. Kto czyta głośno, odbiera dwa wrażenia, naprzód doznaje takiego wrażenia, jakby się na co patrzył, a powtóre takiego, jakby słuchał cudzej mowy; stąd też czytanie głośne wygląda tak jakby ktoś dwa razy o tem samem odbierał wiadomość: raz przez zmysł wzroku, drugi raz przez zmysł słuchu. I to jest przyczyną, w połączeniu naturalnie z lepszym zrozumieniem rzeczy, że kto czyta głośno, ten o wiele lepiej zapamięta treść aniżeli gdyby czytał po cichu. Rozumie się, że nie tylko w początkach samodzielnego czytania ale i później głośne czytanie zwłaszcza też w gronie rodziny, powinno mieć swoje zastosowanie; gdyż korzyści, jakie z niego otrzymujemy, nie zmniejszają się wcale z latami, ale utrzymują wszędzie i zawsze swoją wielką wartość.

Ale niejednemu z was, czytelnicy, zdarzyło się zapewne w życiu zauważyć, że można czytać głośno a nie rozumieć. Ktoś np. czyta parę nawet stronice na cały głos; a gdy go się spytamy, co czytał, nie na to odpowiedzieć nie potrafi, chyba tyle, że istotnie „coś“ czytał. Zdarza się to wtenczas, gdy kto w czasie czytania myśli o czemś odrębnem, gdy głowa jego zupełnie innemi myślami jest przepełniona; gdy nie zwraca uwagi na to co czyta.

Pierwszym więc warunkiem korzystnego czytania, czy to na głos, czy po cichu, jest *uwaga*. Na czemże się ta uwaga zasadza? Oto na skupieniu myśli w tym kierunku, jakiego wymaga od nas książka, o tem lub o owem, do nas przemawiająca. Kto jest roztargniony, kto ma zaprzątnięty umysł czy figlami, czy zmartwieniami: ten nie potrafi skupić swojej uwagi nad czem innem jak tylko nad temi figlami i nad tym smutkiem, i taki człowiek tak samo nie zrozumie książki, jakby nie rozumiał słów obcej osoby, któraby do niego o czemś obojętnem przemawiała. Trzeba jednak starać się zapanować nad swojemi myślami i uczuciami i kierować niemi tak, jak sami zechcemy. Do tego potrzeba wielu prób, potrzeba „przemożenia siebie samego.“ Potrzeba sobie powiedzieć: mam to i to odczytać i powinienem myśleć tylko i jedynie o tem, o czem będę czytał; za niedotrzymanie tego postanowienia, nakładam na siebie taką a taką karę. Kara nie powinna być bardzo surowa, naprzód dla tego, że ją sami na siebie nakładamy, a powtóre dla tego, że z pewnością w pierwszych mianowicie początkach bardzo często wymierzyć ją na sobie przyjdzie. Na rozkaz bowiem nasz, nie znajdziemy w sobie samych posłusznego sługi; i owszem spotkamy opór, któregośmy się nie domyślali nawet.

Najłatwiej nam przyjdzie wytrwać w postanowieniu naówczas, gdy treść książki, którą czytamy, mocno nas interesuje t. j. kiedy się zgadza z chwilowem usposobieniem, w jakim się znajdujemy. Trudniej i daleko trudniej wtenczas, gdy treść książki nie ma bliskiego związku z naszymi uczuciami; gdy zawiera jakieś opisy, albo jakieś nauki, które nas w tej właśnie chwili, kiedy czytamy, najmniej zajmują. W takich razach najdogodniej jest bezwzględnie zamknąć książkę i dać pokój czytaniu. Ale gdybyśmy w ten sposób postąpili raz, drugi i trzeci i dziesiąty, tobyśmy nigdy od siebie samych nie zależeli, tylko od okoliczności, któreby nas w ten lub ów humor, w to lub owo usposobienie wprowadzały. Ażeby temu zapobiedz, potrzeba tedy natrętnie myśli odpędzać, nie odrazu wprawdzie, ale powoli i stopniowo. Tak np. czytam opis bitwy przy Jerozolimie; ale jestem nie w humorze z powodu jakiegoś niepowodzenia, którego przed godziną np. doświadczyłem. Za każdym przeczytanem słowem następuje przerwa w moich myślach. Zamiast Godfreda i Baldwina, widzę tylko siebie, zamiast Turków, widzę tylko mojego własnego nieprzyjaciela, trując się i męcząc nad pogodzeniem mojego postanowienia, zamykam książkę i zaczynam myśleć o mojej biedzie. Bardzo źle na tem wychodzę, bo się tylko coraz bardziej gryzę; lepiej będzie podobno wziąć książkę na nowo do ręki i w losach całych narodów zapomnieć o mojem małym zmartwieniu. Z początku nie mogę się dręczącym myślom opędzić, postanawiam więc sobie koniecznie czytać opis bitwy i nakładam na siebie karę: i to nie pomaga, więc powtarzam głośno, com czytał po cichu, jakoś idzie lepiej; ale po przeczytaniu pół strony, znowuż myśli o mojem położeniu trapią mię i nie dają spokoju. Czytam tedy jeszcze z większym zapalem i jedno zdanie powtarzam po kilka razy. To skutkuje jeszcze lepiej aniżeli samo głośne czytanie: ale po przeczytaniu kartki w ten sposób, znowu energia moja słabnie. Wówczas czytam głośno i piszę to, co przeczytałem na kawałku papieru. Teraz umęczylem się wprawdzie; ale odniosłem nad sobą zwycięstwo. Po niejakiem czasie, mogę już czytać głośno bez pisania a nawet i po cichu; a uwaga moja nie będzie rozproszona. Zapewne gdyby zmartwienie moje miało silniejsze jakieś powody, nie osiągnąłbym tego rezultatu tak prędko a może nawet i wcale. Ale też tu o takich zmartwieniach nie ma mowy. Nam szło o wskazanie przeszkód w czytaniu mniej ważnych, które najczęściej odrywają naszą uwagę; i gdy ją w ten sposób kilka albo kilkanaście razy skupić się postaramy, to w niedługim czasie samo postanowienie naszej woli będzie dostateczne ażeby uwaga pozostała przy tem, co czytamy, nie zaś latała i bujała gdzieś w ciągle zmieniających się krainach, lub też pod obłokami. Rozumie się, że nie tylko zmartwienia ale i wszelkie nawet radosne wzruszenie naszego umysłu bywa przeszkodą w uwadze i uniknąć jej możemy albo w powyżej podany sposób, albo też w podobny.

Zdobyliśmy więc już uwagę na swoją własność; ale uwaga nie jest wszechmocna, nie potrafi nam dać wszystkiego. Można czytać

nawet bardzo uważnie, a jednak nie pojmować tego, co się czyta. Niepojmowanie to ma swe źródło w dwu okolicznościach: albo nie pojmujemy wyrazów albo też niedobrze rozumiemy pojęcia i związek pomiędzy niemi zachodzący. W obu tych wypadkach, t. j. kiedy napotykamy w książce jakiś nieznany nam wyraz, albo też kiedy nie pojmujemy związku myśli pomiędzy sobą, powinniśmy przestać czytać i dopóty go na nowo nie rozpoczynać, póki wyrazy i rzeczy nieznane nie staną się doskonale znanymi. Warunek ten potrzeba zachować święcie, jeśli się nie chcemy narazić na stratę czasu, bez odniesienia jakiegokolwiek korzyści! Kto nie zważa na wyrazy lub pojęcia nieznane sobie i czyta dalej, ten może się tylko wyuczyć dźwięku słów, nie pojmując wcale ich znaczenia, ten bierze szych za srebro. Cóż mamy zrobić, ażeby się od tego uchronić? (d. c. n.)

## ŚLADY ŻYCIA.

Tyle życia ile... w c z y n i e.

### I.

Profesor warszawskiego uniwersytetu pan A. Pawiński, wydał w tych dniach trzy pierwsze tomy „Pamiętników Marcina Matuszewicza,“ kasztelana brzeskiego litewskiego, ojca słynnego ministra skarbu za czasów księstwa Warszawskiego.

O pamiętnikach tych obejmujących okres czasu od 1714 do 1765 r. postaramy się dać szczegółowe sprawozdanie, jak tylko ostatni tom ich czwarty ukaże się na widok publiczny.

Od lat kilku nasze wyroby szewskie znajdują zbyt bardzo korzystny w Cesarstwie, a jak „Kuryer Codzienny“ donosi, jeden z tutejszych majstrów wysłał w tych dniach butów męskich na Kaukaz za sumę rs. 1,500. Wzmianki podobne nieraz już nasi czytelnicy spotykali w „Opiekunie,“ wartoby więc aby stowarzyszenie krawców postarało się i dla swoich wyrobów zyskać w Cesarstwie podobne uznanie.

Czem są te stowarzyszenia i jak niepospolicie wyżej stoją po nad wszelką działalnością jednostki potwierdza fakt, których obyśmy jak najwięcej zaznaczać mogli. W nr. 1 „Kaliszanina“ czytamy: „Z dniem 1 marca roku zeszłego otwartą została na mocy ministerjalnego zezwolenia *kasa pożyczkowo-wkładowa* dla urzędników kieleckiej izby skarbowej i podwładnych jej zarządów kasowych i leśnych. Kasa z dniem otwarcia nie posiadała *żadnego zakładowego kapitału*, dziś w dziesiątym miesiącu od rozpoczęcia swych czynności obraca kapitałem *czterech tysięcy sześciuset rubli*.“ Gdyby to wszyscy nasi urzędnicy postarali się o podobne kasy ileż to rodzin wyzwolono by z rąk drapieżnych lichwiarzy!

Zwracamy uwagę naszych czytelników na zdrowy artykuł pomieszczony w „Gaz. Warszawskiej“ p. t. „Kredyt.“ Wszyscy zainteres-

sowani w sprawie rolnego kredytu z artykułem tym zapoznać się powinni.

Chętnie bo chętnie narzekamy przy każdej sposobności na żydów i Niemców — ale cóż z tego kiedy samem narzekaniem złemu się nie zaradzi, a na nic bodaj innego zdobyć się nie umiemy.

Chęciny posiadają jak wiadomo w łonie gór swoich bogate pokłady ślicznych różnokolorowych marmurów.

Gdyby więc choć cokolwiek przedsiębiorczego ducha i znajomości rzeczy, marmurów, ubogą tę dziś żydowską miścinę, przemienić by mógł był oddawna w bogate miasto przemysłowe, ale gdzie tam!.. Wiedzieli wszyscy że to dobry interes; wiedzieli wszyscy że z marmuru checińskiego mogłyby być prześliczne i chętnie poszukiwane balustrady, filary, schody, posadzki, i t. d., wiedzieli o tem wszyscy, ale nikt ze świadomości tej skorzystać jak należy nie zapragnął, tak że magistrat w braku konkurencji prawo dobywania tak drogiego kamienia, oddawał w dzierżawę na kilka lat, za kilkanaście rubli rocznie, a nieraz i za tak marną opłatę, trudno było o dzierżawcę.

W ostatnich czasach kopalnie marmuru dzierżawił jakiś żydek, za cenę r. 16 rocznie i obecnie dopiero jak donosi „Gaz. Kielecka“ zmienia się postać rzeczy, ale zmieni się dzięki Niemcowi p. *Rephan*, który zaproponował właściwej władzy aby mu kopalnie o jakich mowa wydzierżawiono na lat 10, za opłatą po Rs. 350 rocznie, i którego propozycją jako względnie korzystną bardzo, przyjęto i zatwierdzono.

Nabył nadto P. R. na własność lub poddzierżawił wzgórze pod Kielcami, bogate w różnokolorowe odmiany marmuru i otwieraniebawem fabrykę wyrobów marmurowych w Kielcach, którą pierwiastkowo obsługiwać mają robotnicy ze Szląska, umyślnie w tym celu sprowadzeni, do chwili obeznania się miejscowych rzemieślników z zaniedbaną w naszym kraju fabrykacją.

Dla kieszeni naszych ojców i mężów nie obojętną będzie nowina, którą na ich pociechę chętnie komunikujemy. Noszenie fałszywych włosów w Paryżu zaczyna wychodzić z mody, szynionów już nie używają a Paryżanki porzastają na splocie własnych włosów.

### Powstanie w Hercegowinie.

Z pomiędzy spraw politycznych, załatwienie których rok bieżący przyjąć musi na siebie, *powstanie hercegowińskie*, najważniejszema bezspornie znaczenie.

Garstka ludności słowiańskiej, przyprowadzona do rozpaczy nadużyciami rządów tureckich, przed półrokiem za broń chwyciła i wojsko Padyszacha, pomimo wysiłków ogromnych, pokonać jej dotąd nie zdołały.

Jaki będzie dalszy przebieg walki i jaki jej ostateczny rezultat, przewidzieć tego niepodobna, to tylko wiadomo, że usiłowania mocarstw

aby ostateczny porachunek z „chorym człowiekiem“ zażegnać wyjednaniem dla Hercegowiny pewnych reform administracyjnych, tak dobrze jak sułtańskie irade, ogłaszające te reformy mimo ich doniosłego na papierze przynajmniej znaczenia, nie zachęciły interesowanych do złożenia broni.

Powstanie trwa więc ciągle i rozwija się ciągle, a w takim położeniu rzeczy przypuszczamy, że kilka szczegółów o Luce Petkowiczu, Lubibraticzu i doktorze Costa Gruiczu, dowódcach, których podobizny pomieszczamy w dzisiejszym numerze „Opiekuna“ — nie będą obojętne dla czytelników naszych.

Luka Petkowicz starzec silny, energiczny i odważny, urodził się w Trebinii i cieszy się pomiędzy swymi popularnością ogromną. Wróg śmiertelny Turków — Petkowicz chwycił przeciwko nim za broń przy każdej sposobności, przyczynił się do zwycięstwa pod Grahowem, brał udział w powstaniu w 1862 i w wszystkich późniejszych, a w roku zeszłym jeden z pierwszych stanął na czele ruchu i dowodził powstańcami w okolicach Trebinii aż do przybycia Lubibraticza.

Lubibraticz jest mężczyzną w sile wieku, lat ma około 40, fizyognomię wyrazistą i sympatyczną powierzchowność, a miłe obejście wyróżnia go z pomiędzy współtowarzyszów broni w ogóle surowych.

Adjutantem Lubibraticza jest doktor Costa Gruicz, adwokat z Belgradu. Gruicz wysoko wykształcony, jest dyplomatą powstańców i on to układał się z konsulami Rosyi, Austrii i Prus, delegowanymi do zbadania przyczyn jakie wywołały powstanie, oraz żądań jakoby stawić chcieli powstańcy, odnośnie do polepszenia bytu ich przez Turcyą. Rokowania te spełzły jak wiadomo na niczem.

### Z MIASTA, KRAJU I ŚWIATA.

— Korespondent „Gazety Polskiej“ z Paryża donosi o niezmiernie ważnym projekcie, jaki pan Karol Cotard, inżynier przekopu międzymorza Suez w swem i w znakomitego Lessepsa imieniu odczytał w towarzystwie geograficznem francuzkiem. Projekt ten dotyczy kolei indyjskiej i nie jest zupełnie nowy. Anglicy dawniej już proponowali kolej, która miała przechodzić przez dolinę Eufratu i zachodnie wybrzeże zatoki perskiej. Projekta następne polegały na przerznięciu wzdłuż Persyi t. j. przeprowadzeniu kolei przez Teheran, Herat i Kandahar. Proponowane tak koleje nie dopięłyby celu, raz dla tego, że łączyłyby drogę morską z lądową, po drugiej byłyby niepotrzebne w obec wygodnej drogi przez kanał Suezki. Długą również i niewygodną drogą, byłaby przez Kaukaz i Tyflis.

Pan Lesseps z najpierwszymi inżynierami pospołu osądził, że najlepszą będzie linia prosta przez *Warszawę* do Orenburga, skąd przez stepy Azji środkowej doszłaby do Peszaweru, wzięła kolei indyjsko-angielskich wiodących do Kalkuty. Według tego projektu, Warszawa w każdym razie musi być punktem środkowym, stolicą kolei środkowo-azyatyckiej. Proponowano przeprowadzenie linii przez Sa-

ratów. Chiwę i Bucharyę do Balczu i Peszaweru zamiast przez Orenburg, lecz w takim razie budowa kolei napotkałaby na mnóstwo przeszkód, szczególnie na pustynię pomiędzy morzem Kaspijskiem i morzem Aralskiem. Lepszą jest linia idąca do Orenburga ku okolicom północnym morza Aralskiego. Budująca się obecnie kolej orenburska, jak wiadomo, ma być z przyszłym rokiem otwartą. Orenburg przeto korzystniejszym będzie niż Saratów. Z Orenburga i Taszkentu można obrać dwie drogi: krótszą przy morzu Aralskiem i drogę więcej posuniętą na północ za stokami gór Uralskich ku rzece Czui, wpadającej do Syr-Daryi. Druga ta droga ma być korzystniejszą. Linia przechodziłaby przez Chodżent do Samarkandy do doliny Amu-Daryi. Tu dopiero napotyka się wielkie przeszkody, gdyż droga z dol. Amu-Daryi do dol. Indusu czyli z Balczu do Peszaweru ciągnie się przez łańcuch gór zwanych Indu-Kusz, będący odnogą wielkiego łańcucha Himalai.

Takim jest wielki projekt Lessepsa i Cotard'a. Droga z Orenburga do Taszkentu na przestrzeni 2000 wiorst kosztować będzie po 140,000 fr. od wiorsty (p. Cotard przypuszcza nawet 150,000 fr.); z Taszkentu do Balczu (wiorst 1000) po 200,000 fr. wiorsta, wreszcie z Balczu do Peszaweru (wiorst 780) po 385,000 fr. wiorsta. W ogóle 3,780 wiorst 800,000,000 franków. P. Cotard dodaje do tej sumy 20% od kapitału czyli 160 milionów i 40 milionów na wydatki nieprzewidziane, co utworzy cyfrę „miliarda“ franków. Za te pieniądze bezpośrednio linią żelazną połączone będą miasta: Londyn, Paryż, Rzym, Wiedeń, Berlin, Warszawa, Konstantynopol, Petersburg i Kalkuta.

Kwestyę finansową dochodów pan Cotard przedstawia jak następuje: kanał Suezki wraz ze swą drogą żelazną przewozi corocznie 78,000 podróżnych. Odrzuciwszy małe statki pielgrzymów udających się do Mekki, wypaźnie cyfra 600,000. Zważywszy, iż podróż w zamkniętych powozach jest dogodniejszą i że liczbę podróżników zwiększą Amerykanie, dojść można do wniosku, że kolei środkowo-azyatycka, tak zwana kolej „Central Azyatyku“ przewozić będzie rocznie 100,000 podróżnych; po 11 centimów od wiorsty, co stanowi dochód 11,000 fr. na wiorstę. Towary licząc 6 cent. od wiorsty przyniosą 18,000 fr. rocznego dochodu. W ogóle wraz z rzeczami wiorsta przyniesie dochodu 30,000 fr. Ze zaś handel Rosyi z Azją środkową wciąż wzrasta, można przeto przyjąć jeszcze 10,000 fr. na wiorstę, co razem wyniesie 40,000 fr. Obliczając koszt eksploatacyjny 20,000 fr., pozostanie 20,000 fr. dochodu z wiorsty. Przecięciowo nakład wynosi 264,000 fr. zapewniony więc dochód obejmuje 7½%.

Wpływ i znaczenie tej kolei nie da się określić kilku słowami; jest on ogromny, bo cóż to znaczy połączenie tyłu kraj i części świata tak dogodnymi jak żelazne drogami? Przystrzeń z Paryża do Orenburga wynosi 4,500 wiorst. Po drodze kolej zabiera anglików, przybyłych tunelem pod cieśniną, amerykańców, hollendrów i Niemców. W *Warszawie* przyczepiają wagony przybyłe z Rzymu, Wiednia, Pesztu, Konstantynopola. *Warszawa* więc staje się punktem środkowym, prawdziwą tej olbrzymiej drogi stolicą. Ile Warszawa zyska na tem, trudno obliczyć; z bogacenie się jej tranzytowo-handlowe jest pewne. Co zaś do szybkości, to przypuszczając szybkość ruchu 1000 wiorst na dzień, potrzeba będzie tylko jedenastu dni dla dostania się z Paryża do Kalkuty.